POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 21-go sierpnia 1943r.* **Rok V. Nr. 33**

CIĄGLE ŻYWE ZADANIE

Obywatel brytyjski nazwiskiem John Smith oskarżony został o kradzież. Co więcej, do popełnionego przestępstwa przyznał się w sądzie od razu. Ukradł węgiel, po to, by opalić dom. W domu tym miał żonę i dziesięcioro dzieci. Zarobki jego wynosiły trzy i pół funta tygodniowo. Okres jego pracy w jednej i tej samej firmie dwadzieścia pięć lat. Opinia pracodawcy doskonała. Kradzież ta była pierwszym wykroczeniem jego życia. Sędzia uwolnił Smitha od winy i kary. Prosił go tylko, by nie potrzebował ponownie z nim rozmawiać w gmachu sądu.

Wielka Brytania jest krajem, który nie ma pisanych ustaw, którego rzecznicy sprawiedliwości kierują się swym sumieniem, znajomością życia, wyczuciem poszczególnego człowieka, oceną każdej sytuacji według własnego uznania. Fakt przyznania się do winy nie zmniejsza wymiaru kary. Natomiast okoliczności mogą karę w ogóle znieść. Tak się stało z Johnem Smithem.

Kontynent nie potrafiłby zapewne wydać podobnego wyroku. Jean Valjean przesiedział wiele lat galer za kradzież z głodu. John Smith poszedł do domu, pomimo kradzieży z zimna. Dwa światy, dwa społeczeństwa, dwie kultury.

Nie zawsze i nie wszyscy zdajemy sobie w pełni sprawę z faktu, że wśród tej wyższej kultury, wśród tego głębokiego wyczucia sprawiedliwości, wśród społeczeństwa, które rozwijało się przez długie lata spokoju, żyjemy w tej chwili. Tutaj na samych Brytyjskich Wyspach, na Bliskim i Środkowym Wschodzie, wszędzie tam, gdzie słowo "Imperium" sięga swym dźwiękiem i swym znaczeniem, wszędzie tam, gdzie w wędrówce tragicznej polska stopa dotknęła brytyjskiej ziemi. Nie zawsze zdajemy sobie sprawę z ogromnych możliwości, jakie ten fakt daje nam, a przez nas Polsce. Nie zawsze patrzymy w przyszłość, aż tak daleko, by zrozumieć, że nie wystarczy być pierwszym sprzymierzeńcem w wojnie — trzeba dążyć do tego, aby być pierwszym w czasie pokoju. To dopiero będzie wkładem trwałym, długodystansowym, wkładem, który może być pierwszym krokiem ku pełnej sprawiedliwości dla polskiego Johna Smitha, odpowiadającego przed polskim sądem.

Pod koniec czwartego roku wojny stajemy przed zawiłym i trudnym zagadnieniem zjednania dla naszej sprawy brytyjskiej opinii publicznej. Pod koniec czwartego roku wojny stajemy przed jeszcze trudniejszym problemem, zbliżającym się niewątpliwie coraz szybciej i coraz realniej — problemem powrotu do domu. Jedno z drugim się łączy, jedno z drugiego wynika, jedno drugie uzupełnia. Armia brytyjska otworzy nam do tego domu drogę, lecz opinia brytyjska ten nasz dom będzie w pierwszych chwilach jego wolności urządzać. Od niej zależeć będzie w ogromnym stopniu, czy wrócimy do budowania spokojnego życia, czy też nie wrócimy wcale, lub wrócimy po to by dalej walczyć. Od zrozumienia naszego stanowiska, od naszego dzisiaj wpływu na opinię i przekonania Johna Smitha, Browna i MacDonalda zależy zatem wszystko. Należy o tym pamiętać i ludzi tych nie zaniedbywać. Nie zaniedbywanie ich polega na tym, aby im mówić prawdę. O nas, naszym życiu i naszych dążeniach; o tym, że jesteśmy takimi samymi ludźmi jak oni i tak samo mamy prawo do wolności i spokoju. Że walczymy o tę wolność od przeszło półtora wieku.

Przy swoim dużym wyrobieniu społecznym i nieco mniejszym politycznym ma Szkot i Anglik jedną cechę wspólną: prostotę myślenia. Jest bardzo ostrożny wobec cudzoziemców, lecz raz przekonany potrafi wytrwać. Wiemy to wszyscy, którzy tutaj na Wyspach od przeszło trzech lat żyjemy. My wszyscy, którzy żyjemy nie na marginesie, nie w polskim ghetto, którego mury są grube i niedostępne dla wrażeń zewnętrznych, lecz wewnątrz społeczeństwa brytyjskiego, dzieląc jego troski i radości, jego upadki i wzloty. Prostota polega na tym, że słowa ceni się szczególnie, że czyny sądzi się tak, jak się je widzi bez dopatrywania się ukrytej treści, że uczciwość jest zjawiskiem zwykłym i normalnym, a prawdomówność objawem, którego nigdy nie poddaje się w wątpliwość.

Dlaczego tak jest, to łatwe do wytłumaczenia i zrozumienia. Długie wieki spokojnego życia, długie wieki dalekich wojen, długie wieki podczas których kraj ten nie zaznał wojennych zniszczeń i nie widział nieprzyjacielskiego żołnierza na swojej ziemi pozwoliły mu na gromadzenie bogactw, kształcenie wielu pokoleń w sztuce, nauce, literaturze, prawie. Pokolenia te szły przez życie normalnie, praca ich wydawała rezultaty trwałe, rezultaty, które dawały korzyści nie tylko im samym, lecz krajowi. W ogólnych ramach wytworzonej przez to kultury materialnej wyrastał przeciętny obywatel brytyjski w warunkach o niebo lepszych, aniżeli jego rówieśnik na europejskim kontynencie. Nie rozwijały się skłonności do łatwego życia przez drobne, niezbyt prostolinijne uczynki, gdyż prawo karało je surowo, a korzyści z nich wynikłe nie były większe, a co ważniejsze trwalsze, aniżeli uzyskane przez normalną, uczciwą pracę. Głód i zimno rodzi przestępców. Szczęśliwy naród, który los rzucił na wyspy, który chroniony wodą od nieprzyjaciół, szedł naprzód, podczas, gdy inni stali na miejscu, podczas gdy Polska cofała się w tył.

To jest wytłumaczenie prostolinijności myślenia. To jest klucz do zrozumienia duszy przeciętnego Anglika.

Lecz trzeba jeszcze, by on nas także zrozumiał. Trzeba mu mówić o tym, że gdy my byliśmy w niewoli, gdy nas wynaradawiano, gdy zabraniano mówić po polsku, gdy cały wysiłek młodych pokoleń wyładowywany był w pracach i walkach konspiracyjnych, zdzierał się w niszczeniu znienawidzonego systemu i wrogiego ducha, młode pokolenia brytyjskie ich ojców i dziadów kształciły się na najlepszych uniwersytetach świata, w najdoskonalszych uczelniach technicznych swoich i obcych, że przynosiły potem tę wiedzę do swego kraju, pomnażały ją stokrotnie, rozprzestrzeniały, udoskonalały i tą drogą pchały naprzód cały mechanizm skomplikowany nowoczesnego państwa. Trzeba mu mówić, że podczas gdy oni tworzyli, myśmy musieli niszczyć, że podczas, gdy oni byli pozytywni, myśmy musieli żyć negacją władzy, negacją systemu, negacją narzuconego nam siłą prawa. Trzeba mu mówić, że dopiero teraz, dopiero po tej wojnie możemy rozwinąć się w pełni, możemy być ich pierwszymi przyjaciółmi w Europie, być ich przedstawicielami — my, którzy żyjemy wśród nich już tak długo, żyć będziemy pewnie jeszcze może miesiące, a może lata, my, którzy poznaliśmy ich zalety i wady, ich opanowanie i brak temperamentu, ich trzeźwość — i brak często polotu. Warunkiem jednak po temu musi być jedno — trwały pokój na naszych ziemiach. Po tej wojnie Brytyjczycy będą w stanie ten warunek zapewnić. Ale to może być jedyna okazja na bardzo wiele lat. Obowiązkiem naszym jest ich o tym przekonać.

Nie należy zapominać o tym, że nasz stosunek do gospodarzy kraju w którym żyjemy nie zawsze był stosunkiem właściwym. Z grona licznych naszych przyjaciół ubyło wielu w momencie dla nas bardzo trudnym i bardzo zasadniczym. Nie zawsze umieliśmy zamienić nasze kontynentalne rozumowanie na prostolinijność Anglików. Nie zawsze potrafiliśmy ocenić pewne ich — bardzo zresztą dyskretnie okazywane — uczucia. Nie zawsze zdołaliśmy zrozumieć jeden kapitalny czynnik najbardziej przez nich ceniony — czynnikiem tym jest zdecydowane zdanie, bez względu na to, czy idzie ono po linii interesów brytyjskich, czy nie. Oświadczenie mocne, stanowcze, oświadczenie wynikające ze szczerego przekonania jest tutaj dużo bardziej cenione, aniżeli rzecz koniunkturalna, nieszczera, chociażby nawet robiona w tym celu, aby im pójść na rękę. Szacunek Brytyjczyka do cudzoziemca jest ściśle związany z jego obliczem. Jeżeli jest ono wyraźne i stanowcze — szacunek istnieje. Jeżeli nie — może być co najwyżej tolerancja. W wypadku naszym — jeszcze trochę współczucia i gościnności.

Stojąc przed rozwiązaniem tych dwu istotnych problemów — brytyjskiej opinii publicznej i naszego do kraju powrotu musimy zdać sobie sprawę z powagi sytuacji i musimy popatrzeć w przyszłość. Wroga nam propaganda chce oba te zagadnienia rozwiązać dla nas nieprzychylnie: nastraja przeciw nam opinię brytyjską, chce zamknąć drogę powrotu. Nie liczy się Wrzesień, ani Czerwiec, nie liczy się *Battle of Britain*, ani Tobruk, ani Narwik, ani *Polish Navy*. Liczy się tylko polityczna wartość Polski, która jest — według ich zdania — żadna. Czy mamy patrzeć na to bezczynnie? Czy — przez naszą bierność, przez życie na marginesie brytyjskiej rzeczywistości, przez krótkowzroczność przeciętnego Polaka mamy przegrać sprawę — dla Polski?

Jest w Anglii wieś maleńka, Knowbury. W tej wsi niedawno zgromadziło się kilkadziesiąt osób, by posłuchać historii swego sprzymierzeńca, gościa z dalekiej Polski. Zanim zaczął mówić, pastor zaintonował psalmy. Psalmy te były za Polskę i za jej jasną przyszłość. Modliła się daleka i nieznana nikomu wieś angielska za daleką i ciągle jeszcze nieznaną dla nich Polskę. Było w tej modlitwie wiele szczerości prostych ludzi, ceniących wolność i ceniących nasz wkład w obronę tej wolności. Czuło się, że do nich nie trafi nasz nieprzyjaciel.

W tej wsi sprawa nasza jest dobrą sprawą.

Musi być wszędzie. Musi być zrozumiana przez chłopa i członka parlamentu. Na pierwszym planie brytyjskich celów wojny musi być postawiona niepodległa Polska, cała, nietknięta geograficznie, taka jaka była, gdy jednomyślnie stawiła czoło Niemcom lat temu już blisko cztery. Zadaniem naszym na dzisiaj jest doprowadzenie do tego. Wtedy będziemy mieli powrót do Kraju szczęśliwego swą wolnością, pełnego nadziei na pomyślny rozwój, na długoletni pokój, pełnego wiary w pomoc i opiekę brytyjską.

Wejście w życie brytyjskie, otwarcie bram i zburzenie murów polskiego ghetta — zrozumienie myśli Anglików, ich sposobu rozumowania, wczucie się w ich stosunek do nas — oto droga do celu. Tylko w języku angielskim można się z nimi porozumieć. Język ten bowiem ma wiele cieniowań, wiele dwuznaczników, ogromną ilość skrótów i niedopowiedzeń. Musimy je poznać. Przez to znajdziemy klucz do serc ludzi, którzy dzisiaj nas goszczą, a jutro — będą naszymi gośćmi w Polsce. Gośćmi, którzy przyjadą po to, by pomóc gospodarzom.

ZYGMUNT NAGÓRSKI, jr.

ANDRZEJ WART: Goniec motocyklowy



Szkic sytuacyjny

RZYM MIASTEM OTWARTYM

Po drugim bombardowaniu Rzymu rząd Badoglia ogłosił Rzym miastem otwartym. Strona angielska oświadczyła, że jest to stwierdzenie *jednostronne.* Do tego, ażeby Rzym stał się miastem otwartym — wywodzą Anglicy — trzeba czegoś więcej: musi komisja neutralna uznać, że istotnie z Rzymu " wyszły " wszystkie ministerstwa, że opuszczone są lotniska rzymskie, że nie działają fabryki i zakłady zbrojeniowe i że rzymski węzeł kolejowy nie przepuszcza transportów wojskowych.

Nie wiadomo, czy rząd Badoglia zwróci się do Szwajcarii czy Szwecji, ażeby podjęła się tego rodzaju świadczenia. Bez tego nie bardzo wiadomo, jak może dojść do uznania Rzymu za miasto otwarte. Poza tym prawo międzynarodowe nie zna podobno pojęcia miasta otwartego — jak wskazywały londyńskie pisma niedzielne z dnia 15-ego — tylko pojęcie "*miasta niebronionego.*" Wskazywano na przykład Paryża, który ogłoszony został miastem niebronionym i zaraz potem poddany Niemcom. Bruksela, pomimo ogłoszenia miastem otwartym była bombardowana przez Niemców. Oficerowie brytyjscy, którzy brali udział w kampanii belgijskiej podkreślają, że Niemcy twierdzili, iż węzeł brukselski przepuszcza stale transporty wojskowe i z tym uzasadnieniem bombardowali miasto. Istotnie, jest niemal niemożliwością zatrzymać ruch przechodzący przez stolicę i dlatego stołeczny węzeł kolejowy jest zawsze " pełnoprawnym " celem bombardowania. Jeżeli chodzi o Belgrad, to mimo ogłoszenia przez Jugosłowian, że stolica ta nie będzie broniona, zniszczono Belgrad gruntownie.

Jest to zagadnienie sporne i trudne do rozwikłania. Poza tym, jak zaznacza "*Observer*" z dnia 15-ego sierpnia, nie jest rzeczą wykluczoną, iż po zajęciu Sycylii wojska sojusznicze uderzą na Włochy właśnie od Ostii i Rzymu. Marsz od południa Włoch, wywodzi pismo, byłby zadaniem długim i uciążliwym. Byłby również bezcelowym marnotrawieniem czasu i sił. O wiele celowiej byłoby *przeciąć Włochy na pół właśnie desantem w okolicy Rzymu.* Czy zatem w tym wypadku Rzym byłby także traktowany, jako miasto niebronione? Czy Włosi broniliby wówczas Rzymu czy nie?

"*Observer*" stwierdza poza tym, że w chwili obecnej można uderzyć nie tylko na południe czy na centrum Włoch, ale że *najbardziej logiczną operacją wydawałaby się Albania.* O możliwości ataku na Albanię wspominaliśmy tu dwukrotnie, rozważając najbliższe posunięcia. *Albania jest wprost idealną bazą.* Jeżeli się ją pochwyci — a garnizony włoskie są tam zdemoralizowane, nie posiadają nadmiaru sprzętu i mają na tyłach bandy powstańcze — to wówczas opanowuje się za jednym zamachem: *wstęp na Adriatyk, możliwość ataku na Grecję, szanse ataku na Jugosławię. Albania wprowadza sojuszników od razu w sedno Bałkanów.*

CO ZROBI BADOGLIO?

Pisma angielskie, które niebawem po utworzeniu się rządu Badoglia dawały do zrozumienia, iż ma on wyjście z sytuacji, dzisiaj uznają — co było jasne od początku — iż jest on *między młotem a kowadłem.* Nie widać sposobu, w jaki mógłby się wyplątać z niemieckiego aliansu. Jest on w potrzasku: Niemcy będą bronić doliny Padu /Po/, zniszczenie północy Włoch, najbardziej przemysłowej części kraju jest niemal nieuniknione, bomby niemieckie i sojusznicze będą padać na Włochy. Na domiar złego robotnicy włoscy w Rzeszy są rodzajem zakładników, armie włoskie na Bałkanach mają *prawie odcięte drogi odwrotu,* skoro nad linią triesteńską panują działa niemieckie i bombowce " Luftwaffe."

Badoglio liczył na uskoczenie w neutralność. Gdy to się nie udało, zabiegał o jakieś wyjście Niemców z Włoch; ale i te zabiegi spaliły na panewce. *Obecnie musi prowadzić wojnę.* Ale bombardowanie Mediolanu i Rzymu wywołuje takie zamieszanie, iż nie wiadomo, czy potrafi on utrzymać władzę w rękach. *Ogół włoski był dotychczas spokojny,* rozruchy nie były na wielką skalę — niektóre były pono celowo wzniecane przez ajentów niemieckich, ażeby usprawiedliwić ewentualną interwencję niemiecką na północy Włoch — a strajki były nieznaczne. Wszystko to przypisać należy z jednej strony zmęczeniu, z drugiej dyscyplinie wojennej, a wreszcie temu, że ogół włoski żywił nadzieje, iż Badoglio uzyska honorowy pokój. Skoro jednak zamiast tego spadać będą bomby, *może dojść do rozruchów prawdziwych, do objawów buntu i do rozprzężenia, jakiego Włochy uniknęły w sposób godny podziwu.*

SYCYLIA NA WYKOŃCZENIU

Wydaje się, że Sycylia jest już tylko sprawą dni i że najdalej do 1-ego września zostanie opanowana i urządzona już jako baza do dalszego ataku. Opór jaki stawia wróg pochodzi głównie od jednostek niemieckich, chociaż i oddziały włoskie biły się dobrze. Widać to po *małej ilości jeńców.* Przewaga sojusznicza jest przygniatająca, zwłaszcza jeżeli idzie o lotnictwo.

Ewakuacja armii na ląd stały w stronę Reggio di Calabria już się rozpoczęła. Jednostki wojenne i bombowce sojuszników przeszkadzają tym ruchom, ale ze względu na bliskość brzegu, ogromne ilości *Flak'u* /niemiecka artyleria przeciwlotnicza/, osłonę pościgowców działających z Kalabrii, spora część armii się przemknie.

Akcja opóźniająca jest na ukończeniu. Wkroczenie do Messyny nie powinno się zbytnio opóźniać.

RZESZA POD BOMBAMI

Uderzenia lotnicze w Rzeszę zyskują na sile. Rozważa się już dzisiaj możliwość bicia w Berlin, rodzaj ofensywy w stylu takim, jaki Rzesza w jesieni r. 1940-ego zastosowała wobec Londynu. Jeżeli w przewidywaniu tych wypadków kierownictwo partii hitlerowskiej postanowiło ewakuować Berlin i jeżeli półtora miliona ludzi opuszcza podobno to miasto, stanowi to dowód, że *nie liczy się nadmiernie na dobry stan nerwów mieszkańców Berlina.* Z tego co raportują sprawozdawcy neutralni, *Berlińczycy stale reagowali jak najgorzej na naloty.* Tam właśnie było najwięcej histeryków i tam też najwięcej narzekania. Nic dziwnego, skoro każdy kto zna Berlin, wie że przodował on wśród miast Trzeciej Rzeszy w wszelkich narzekaniach.

Uderzenia w Niemcy są coraz silniejsze, przy czym miasta bombardowane wyglądają coraz tragiczniej. *Brak wody,* niedostateczność obrony, braki straży pożarnej, niemożliwość ewakuowania ludności — wszystko to stwarza zagadnienia nowe, z którymi Rzesza nie spodziewała się mieć do czynienia. Niejednokrotnie ludność ewakuowana z jednego miasta do innego otrzymała tam drugie cięgi. W tym stanie panika jest wcale powszechnym zjawiskiem, a ucieczka do Austrii i Czech i dalej, do Polski, staje się niejako hasłem chwili.

Ale oto już do Wiener Neustadt, olbrzymiej centrali przemysłu wojennego, dobrały się bombowce amerykańskie. Jest to uderzenie bardzo dobrze pomyślane, jeżeli się zważy, że ten właśnie ośrodek skupia olbrzymie ilości fabryk i zakładów, że roi się on od robotników i że tam to właśnie kilka miesięcy temu *doszło do strajków i niepokojów, które zmusiły do przyjazdu samego Himmlera.* Jeżeli teraz na takie środowisko spadną jeszcze tony bomb, efekt może być bardzo niewesoły dla przemysłu niemieckiego.

Przerzucanie fabryk z Niemiec do Austrii było zabiegiem stosowanym od dawna i Goering odegrał w tym dużą rolę. Olbrzymie koncerny, szczególnie koncern nazwany imieniem Goeringa, rozparły się w Austrii. Przypuszczano, że tam będzie bezpiecznie. Podobnie przemysł niemiecki wywędrował do Czech. Jest on także na Węgrzech. Pracuje na Słowaczyźnie. Jest w Polsce.

Nie było by nic w tym dziwnego, gdyby amerykańskie bombowce zapuściły się pod Budapeszt, gdyby zjawiły się nad Śląskiem, gdyby zbombardowały zakłady nad Wagiem, gdyby były nad Bernem Morawskim. Uderzenia ku Bułgarii stają się coraz bardziej możliwe. Ataki lotnicze na Zagrzeb i inne okolice /Maribor, gdzie jest spory przemysł/, są także dzisiaj możliwością. *Zasięg " Liberatorów " pozwala na uderzanie wszędzie.*

Przemysł niemiecki nie ma bezpiecznej kryjówki.

NARADY W QUEBECU

Nie wiemy jeszcze, jakie są wyniki narad na ziemi kanadyjskiej. Wnioskować jednak należy, iż Churchill i Roosevelt spotkali się dlatego, że jak sugeruje "*Sunday Times*" z dnia 15-ego sierpnia — akcje sojuszników ułożyły się o wiele lepiej, aniżeli oni sami przypuszczali, że powodzenie bombardowania lotniczego okazało się nadspodziewane i że upadek Mussoliniego odsłonił *luki i szczerby,* które mało kto spodziewał się ujrzeć tak szybko.

W tych warunkach należy się zastanowić, co jeszcze można zrobić, ażeby "*pomóc*" zwycięstwu. Churchill i Roosevelt przedstawiają komitetowi ekspertów i sztabowcom swoje wnioski. Oni to mają orzec, czy możliwe będzie w tym roku rzucić do boju nowe rezerwy ludzkie, czy można będzie zaprząc dodatkowo nowe jeszcze ilości maszyn. Od ich odpowiedzi zależy, czy dojdzie do większych akcyj w tym roku i czy działania te obejmą jakieś nowe obszary.

Narady w Quebecu są niejako naradami w przedsionku zwycięstwa. Okazało się, że trzeba zastanowić się szybciej nad dziełem oswobodzenia Europy. Czas nagli. Strategia sojusznicza czuje, że trzeba się śpieszyć.

Rok obecny może oglądać rozpalenie się nowych ognisk wojny, a raczej *przeniesienie pożaru wojennego do innych jeszcze ośrodków i okolic.* Z chwilą opanowania Sycylii otwiera się *wielka szansa uderzeń w całym basenie Morza Śródziemnego.*

Możliwości te mogą się jeszcze pomnożyć przez nowe akcje. Stanowisko, jakie zajęła Szwecja wobec transportu wojsk niemieckich t.zw. tranzytem przez Szwecję do Norwegii, jest bardzo znamienne. Dowodzi ono, że Szwecja czuje się dzisiaj na siłach odparować ewentualny atak niemiecki. Stwarza to nowe możliwości dla ewentualnego ataku na Norwegię. Finlandia czując pismo nosem zaczyna coraz wyraźniej zabiegać o jakiś pokój.

Innymi słowy rok bieżący nie zakończy się Sycylią. Zapowiada się jesień niespodzianek.

Londyn, dnia 16-ego sierpnia 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

8 *sierpnia: Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową. Wszyscy myśliwcy powrócili.*

9 *sierpnia: Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały dwie wyprawy bombowe.*

10 *sierpnia: Premier Churchill przybył do Kanady, gdzie rozpoczął narady wojskowe i polityczne z rządem kanadyjskim.*

11 *sierpnia: Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały bombowce brytyjskie. W wyniku wspólnej akcji zniszczono pięć ścigaczy niemieckich i jeden podpalono. Wszyscy myśliwcy polscy powrócili.*

—Tego samego dnia wykonano dalekosiężne patrole ofensywne. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

12 *sierpnia: Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały dwukrotnie wyprawy bombowe. Wykonano również loty ofensywne ponad wodami terytorialnymi nieprzyjaciela. Wszystkie samoloty polskie powróciły.*

—Podano do wiadomości, że gen. bryg. Bronisław Duch mianowany został dowódcą Karpackiej Dywizji Strzelców.

13 *sierpnia: Amerykańska Siódma Armia wkroczyła do Randazzo, na Sycylii. Wojska niemieckie uciekają z Sycylii.*

—Lotnictwo amerykańskie po raz drugi bombardowało Rzym za dnia. Wszystkie samoloty powróciły.

—W nocy z 12/13 polskie samoloty bombowe brały udział w operacjach bojowych. Wszystkie samoloty powróciły.

—Ogłoszono, że wojska sowieckie rozpoczęły ofensywę na Smoleńsk.

—Polski myśliwski dywizjon rozpoznawczy przeprowadził patrolowanie wybrzeży i żeglugi nieprzyjacielskich. Wszystkie samoloty powróciły.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało zakłady przemysłowe w Wiener-Neustadt pod Wiedniem. Było to pierwsze bombardowanie obiektów w Austrii.

14 *sierpnia: Rząd włoski ogłosił Rzym jako miasto otwarte.*

—Dębliński dywizjon myśliwski obchodził święto "Gdańsk w Irlandii" na które przybyli Naczelny Wódz i Premier Północnej Irlandii.

SPROSTOWANIE

W artykule Witolda Zarzyckiego " Po exposé " druk. w nr. 31 " Polski Walczącej ". omyłkowo podano, iż Prezydent R.P. powierzył p. Mikołajczykowi misję formowania Gabinetu dnia 6 lipca. W rzeczywistości fakt ten miał miejsce dnia 10 lipca, co niniejszym prostujemy.

Wojna na morzu

NIEMCY W NORWEGII

Niemcy w północnej Norwegii znaleźli się w trudnym położeniu. Wprawdzie o całkowitym odcięciu mówić było by przedwcześnie, ale przerwanie komunikacji przez Szwecję izoluje ich od lądowych połączeń z Rzeszą. Pozostaje droga morska przez Bałtyk — zagrożona przez okręty podwodne, ścigacze i samoloty sowieckie, oraz droga morska wzdłuż północnych brzegów Norwegii wystawiona również na ataki okrętów W. Brytanii i Zw. Sowieckiego. Połączeń kolejowych czy drogowych między północną a środkową Norwegia nie ma i tylko statkami poprzez Morze Norweskie przewozić tu można ludzi, sprzęt, zaopatrzenie.

Droga bałtycka, poza kwestią niebezpieczeństwa i trudności żeglugowych, przedstawia jeszcze tę niedogodność, że wymaga użycia trzech rodzajów komunikacji: statkiem, kolejami fińskimi i drogami Dalekiej Północy, gdzie zaczną się niezadługo śnieżyce i mrozy. Utrata tranzytu szwedzkiego jest więc dla Niemców poważnym niepowodzeniem natury politycznej i strategicznej.

Stąd pogłoski o ewakuacji północnej Norwegii przez armię Dietla, naszym zdaniem przedwczesne. Ale fakt, że pozostaną Niemcom już tylko komunikacje morskie, mówi sam za siebie. Komunikacje morskie są bowiem funkcją panowania na morzu. A panowanie na morzu jest w ręku przeciwników Hitlera.

SYCYLIA W KLESZCZACH FLOTY

" Oba brzegi Sycylii są dzień i noc bombardowane przez okręty floty " — głosi komunikat. Operacje brytyjskich sił morskich od Catanii do Messyny, a amerykańskich wzdłuż północnego wybrzeża Sycylii, w dużym stopniu ułatwiają akcję lądowych sił sprzymierzonych. Sycylia znalazła się dosłownie w kleszczach floty, podczas gdy lotnictwo panuje nad jedyną drogą odwrotu — szyjką Cieśniny Messyńskiej o szerokości 2500 m.

Okręty brytyjskie i amerykańskie w niektórych wypadkach podchodziły na 500 m. od brzegu, przy czym ogień ich sięgał do 20 km. w głąb lądu! Bombardowano obiekty wojskowe, kolumny nieprzyjaciela na drogach oraz pociągi. Ścigacze docierały do brzegów Kalabrii. Krążowniki i kontrtorpedowce do Castellamare pod Neapolem. Okręty podwodne — w tym i polskie — przecięły komunikacje na Morzu Tyrreńskim, operowały wzdłuż brzegów włoskiego " buta." Jednym słowem doniosłość znaczenia marynarki — właśnie w operacjach lądowych — została raz jeszcze potwierdzona. I to niezależnie od kwestii desantu czy operacji o charakterze amfibijnym.

Admirał Riccardi " odszedł," a pancernik " Littorio " przezwano " Italia." Wszystko to jednak nie zmieni sytuacji strategicznej na korzyść Włoch. Choćby zmieniono wszystkich dowódców i wszystkie nazwy okrętów " Mare Nostro " jest w kleszczach flot Sprzymierzonych. I kleszcze to zwierać się będą coraz silniej.

MUNDA

Przez zajęcie lotniska Munda na Salomonach zasięg marynarki i lotnictwa U.S.A. powiększył się o dalsze 250 mil. Równocześnie wzrosło zagrożenie na komunikacjach japońskich z Indonezją, Australazją i Malają. Amerykanie mają teraz awantaż działania po przekątnej. Od obu marynarek japońskich — wojennej i handlowej — zależy teraz czy uda się utrzymać wysunięte pozycje na kresach okupacji japońskiej.

Podobno Hitler i Ribbentrop nalegają usilnie na rząd Mikada /w istocie Mikado jest lalką w rękach własnego rządu/, aby rozpoczął wojnę z Rosją. Jest to jedyny sposób powstrzymania natarcia sowieckiego w Europie. Ale Japonia nie kwapi się z wplątaniem w nową i trudną kampanię, która osłabiłaby ją poważnie w Chinach i na Południu.

Rozpiętość teatrów operacyjnych na Pacyfiku jest zbyt wielka — nawet dla trzeciej potęgi morskiej świata, jaką jest Japonia. A przecież i tu panowanie na morzu stanowi o losach wojny.

Zatopienie krążownika i dwóch kontrtorpedowców japońskich w pobliżu Nowej Brytanii świadczy, że panowanie to coraz wyraźniej przechodzi w ręce marynarzy Wuja Sama.

9 MILIONÓW TON STRAT

Odpowiadając na fantastyczne cyfry niemieckie, Admiralicja Brytyjska ogłosiła liczbę strat tonażu npla do 1-go lipca 1943 r. Wynosi ona w statkach " osi," wziętych, zatopionych lub niezdatnych do użytku, 9.045.683 tony. Nie dotyczy to strat japońskich oraz strat zadanych " osi " przez siły zbrojne Zw. Sowieckiego.

9 milionów ton to mniej więcej cały przedwojenny tonaż handlowy Niemiec i Włoch. Nadwyżka istnieje ze względu na tonaż " satelitów " oraz na statki zrabowane przez " oś " w krajach okupowanych. Możemy być dumni, bo prócz małych jednostek przybrzeżnych, ani jedna tona polskich statków morskich nie wpadła w ręce wroga. Ale narabował się on w Norwegii, Francji, Grecji, Danii i innych krajach.

Poza tym miał oczywiście stocznie w Niemczech i Włoszech produkujące nowe statki. Nie wiemy ile wynosi, ale cyfra jej musi być niewielka, jeśli weźmiemy pod uwagę trudności w dziedzinie surowców, bombardowania powietrzne i małą wartość sił roboczych.

Jakkolwiek jest, tonaż " osi " wykrusza się szybko. Co prawda, to i tak pływać może już tylko /i to nie bez ryzyka/ po Bałtyku, wodach niemieckich na Adriatyku i greckich wodach przybrzeżnych.

Tymczasem Amerykanie budują ponad milion ton miesięcznie, a w Imperium Brytyjskim produkcja okrętowa idzie też całą parą. Ogólna liczba okrętów i statków Sprzymierzonych w operacji sycylijskiej wynosiła 3260! Oto jaką armadą rozporządzał adm. Cunningham.

I cóż na to p. Goebbels z jego cyframi strat?

" ŻYWE TORPEDY "

Komunikat włoski doniósł, że " oddziały szturmowe z włoskiego okrętu podwodnego ". wtargnęły na redę Gibraltaru i zatopiły 2 transportowce po 7000 ton oraz cysternę 10.000 ton, a także uszkodziły inne statki.

Nie wiadomo dokładnie, co miało miejsce. Ale pamiętamy dobrze, jak to w październiku 1918 roku dwaj oficerowie włoskiej marynarki wojennej na przyrządzie nazwanym " Mignatta," wtargnęli do portu Pola i nurkując pod pancernikiem austriackim " Viribus Unitis," podłożyli dwa ładunki wybuchowe.

Los chciał, że dostrzeżono ich mimo nocy i maskującego stroju gumowego koloru wody, zakończonego u góry jakby szyjką butelki. Obu Włochów wydobyto z morza i dostarczono właśnie na " Viribus Unitis." Tam dowódca nie chciał uwierzyć ich oświadczeniom, że pancernik lada chwila wyleci w powietrze. Wybuch wkrótce nastąpił — Włosi ocaleli — dowódca, kmdr. Vucotič, zginął, a z nim stukilkudziesięciu marynarzy. Nazwiska kapitanów Paoletti i Rosetti przeszły do historii, jako uosabiające " żywą torpedę."

" Mignatta " nie była jednak torpedą. Był to podłużny pływak, napędzany sprężonym powietrzem. Ładunki wybuchowe były luźne i trzeba je było zakładać ręcznie pod okrętem nieprzyjacielskim. Było to niebezpieczne, ale, jak widać, nie pociągnęło bynajmniej utraty życia załogi. Wybuch nastąpił dopiero po 20 minutach.

Przed wojną w Polsce było dużo zgłoszeń na " żywe torpedy." Oczywiście nasza Marynarka Wojenna nie posiadała żadnych przyrządów tego typu, bo nie wygrywa się wojny " cudami." Trzeba mieć przede wszystkim pełnowartościową flotę. Prasa polska wyrządziła sprawie niedźwiedzią przysługę, wprowadzając w błąd patriotycznie usposobione społeczeństwo i odwracając jego uwagę od istotnych potrzeb naszej Marynarki.

" Żywe torpedy " nie mogą zastąpić okrętów, baz czy umocnień nadbrzeżnych. Mogą one być co najwyżej dodatkiem do całokształtu taktycznego. Propaganda " żywych torped " w prasie wytworzyła mniemanie, że zastąpią nam one braki w sile zbrojnej na morzu. Obok zaś szczerych patriotów zgłaszali się ludzie wykolejeni lub zniechęceni niepowodzeniami życiowymi, z których żadnego pożytku by nie było. Momentem niepozbawionym tragikomizmu było wycofanie się jednego z ochotników, który w liście do Kierownictwa Marynarki Wojennej pisał: " Ja nie wiedziałem, że to taki straszny przyrząd. Mam żonę i czworo dzieci, nie chcę ginąć. Koledzy namówili mnie przy kieliszku."

Oto do czego prowadzi wprowadzanie w błąd opinii publicznej i nierzeczowy pogląd na sprawy obrony morskiej.

KORSARZE PRÓBUJĄ WRÓCIĆ

Radio niemieckie podało wiadomość, że nowa flota okrętów podwodnych, wyposażona w najnowsze środki walki i przeciwdziałania przyrządom wykrywającym, wypłynęła na Atlantyk.

Rezultat nie dał na siebie długo czekać. Trzydniowa bitwa między wielkim konwojem atlantyckim a korsarzami podwodnymi skończyła się porażką tych ostatnich. Dwa okręty podwodne zostały zatopione z pewnością. Kilka odniosło uszkodzenia. Co jednak najważniejsze: *ani jeden statek z konwoju nie zatonął.*

Porażka jest więc nie tylko taktyczna czy operacyjna, ale przede wszystkim strategiczna. Ani razu eskortujące konwój okręty i samoloty nie pozwoliły niemieckim korsarzom zbliżyć się na odległość celnego strzału torpedowego. Niemcy zmarnowali moc wysiłków, sprzętu, paliwa, ponieśli duże straty — wszystko nadaremnie. Nadzieje na odwrócenie czekającej ich niechybnie klęski — przez bezwzględną wojnę podwodną — raz jeszcze zostały zawiedzione.

Oczywiście — na tym nie koniec. Walka trwać będzie dalej. Minister Marynarki St. Zjednoczonych — płk. Knox — przestrzegał przed nadto wczesnym optymizmem. Ale i tak pierwsze dwie bitwy o Atlantyk zostały wygrane przez Narody Sprzymierzone, a trzecią, będącą w toku, wygra ten, kto panuje na morzu i w powietrzu. A więc w żadnym wypadku nie Hitler. Goering, Doenitz, Goebbels i towarzysze usiłują pocieszyć swych zdeprymowanych ziomków fantastycznymi cyframi strat rzekomo poniesionych przez Aliantów w desancie na Sycylię.

JULIAN GINSBERT

W piekle obozów koncentracyjnych

IV.*

Częste są wypadki uporczywego namawiania księży, by odstąpili od wiary, lub weszli w związki małżeńskie. Za tę cenę mogą uzyskać zwolnienie. Jak dotąd, pokuszenia te były daremne. Wśród wieluset księży polskich nie znalazł się ani jeden, któryby na nie zwrócił uwagę.

Niejeden czytelnik nie zdaje sobie może sprawy ile męstwa, charakteru, wytrzymałości wymaga utrzymanie w obozie należytej psychicznej postawy. Wszakże wystarczy upodlić się, poniżyć, by uzyskać uprzywilejowane stanowisko, być zabezpieczonym od zimna i głodu. Głód . . . Najsroższy to nieprzyjaciel człowieka, najdotkliwsza z tortur. Ludzie, którzy przed wojną uprawiali kurację odtłuszczającą i twierdzili, iż " głodują," którzy teraz mimo wojny są jeszcze wciąż syci, nie mogą mieć o tym pojęcia, co oznacza głód zadawniony, przewlekły, rzeczywisty, jaka to okropna męka, ani na chwilę nie dająca o sobie zapomnieć. Głód, od którego można się uwolnić za cenę pokornego, nikczemnego gestu . . . A jednak . . .

NA WYSOKIEJ SOŚNIE

Mauthausen to centrala, Gusen — filia. Oba obozy odległe są od siebie o trzy kilometry. W pobliżu znajduje się miasto Linz, obie mordownie zaś położone są w dolinie Dunaju. Wokoło wznoszą się góry. Dolina rzeki tworzy głęboki parów, ściągający wszystkie obłoki i mgły z okolicy. Ilość rocznych opadów rekordowa. Nie przyczynia się to do stanu zdrowotności więźniów.

W Mauthausen i Gusen nie potrzeba wynajdować roboty i kopać dołów, by je zasypywać na drugi dzień. Rzeczywistej pracy jest dość. W najbliższym sąsiedztwie obozów leżą olbrzymie kamieniołomy, stanowiące własność prywatną partii, dające rok rocznie pokaźne dochody. Rzecz jasna, iż dochody te wzmogły się znacznie z chwilą, gdy wybuch wojny zdjął z właścicieli troskę o najem i wynagrodzenie robotnika, o remont maszyn, o ich amortyzację i kupno. Wszystko to zastępują dziś więźniowie. Zastępują robotników, zastępują maszyny, pracują zamiast traktorów, dźwigów ze sprężonym powietrzem. Dłońmi fellachów zbudowano piramidy. Dłońmi polskich inteligentów partia nazistowska kruszy, wydobywa, łupie, odstawia potężne bloki kamienia. Wprawdzie surowiec ludzki zużywa się bardzo szybko, lecz o to nie ma kłopotu. Jedna więcej łapanka w Warszawie, jeden więcej transport z Dachau, wyrównają te braki.

Od wczesnego świtu do późnego zmierzchu pną się po ścianach kamieniołomu dwie kolumny ludzi po dwa tysiące każda. Jeden za drugim, z trudem utrzymując równowagę na wąskim zboczu. Jedni wchodzą, drudzy schodzą. Dozorcy poganiają bykowcami. Pochód wygląda zdala niby staroegipski fryz lub maszerująca kolumna mrówek.

Polacy, znajdujący się w Gusen i Mauthausen, pochodzą przeważnie ze Śląska, Pomorza i Suwalszczyzny, choć nie brak też przedstawicieli Polski centralnej. Wiosną 1940 r. przywieziono do Gusen tysiąc mężczyzn, plon wielkiej łapanki dokonanej w tym czasie w kawiarniach warszawskich. Pośród Ślązaków są i Opolczacy. W świecie więziennym Mauthausen, Gusen mają tę samą opinię co Oświęcim, miejsc z których nie ma powrotu. Choć głodowe jedzenie jest takie samo jak w innych obozach, wycieńczenie i wychudzenie są większe niż w Oranienburgu lub Dachau. Zapewne powoduje to wyjątkowo ciężka praca. Postacie więźniów znoszących kamienie z gór przypominają zdjęcia podróżnicze z Afryki, przedstawiające krajowców chorych na śpiączkę w ostatnim stadium przedśmiertnym. Nie ludzie, lecz kościeje, nie żywi, lecz umarli. Nic dziwnego też, że z 9 tysięcy Polaków przywiezionych do Gusen wiosną 1940 roku, następna wiosna zastała przy życiu zaledwie tysiąc . . .

Śmiertelność większa niż gdzieindziej, terror wzmożony również. Siłą rzeczy robotnicy rozproszeni są na dość dużym, trudnym do upilnowania obszarze górskim i dozorcy usiłują zwiększonym terrorem odjąć im ochotę do ucieczki. Z tego też powodu apel odbywa się nie dwa razy dziennie, lecz trzy razy: rano, w południe i wieczór. Choroby panują te same co w pozostałych obozach: gruźlica, biegunka, zapalenie płuc, flegmona, wrzody, ropnie, wszawica. Więźniowie noszą drelichy w paski biało-niebieskie. Naszyty na drelichu trójkąt czerwony oznacza więźnia politycznego, zielony — złodzieja, czarny — uchylającego się od pracy, różowy — zboczeńca, homoseksualistę. Nałóg ten, rzadki wśród więźniów Polaków, panuje nagminnie wśród Niemców.

Prócz Polaków i Niemców w dolinie Dunaju znajdują się Hiszpanie w liczbie paru tysięcy. Są to " czerwoni." Po zwycięstwie gen. Franco zbiegli do przyjacielskiej Francji. Tam ich zastała wojna. Francuzi wydali byłych przyjaciół Niemcom, którzy osadzili ich w kamieniołomie. Hiszpanie ci rekrutują się z najniższych sfer proletariackich. Uświadomienie narodowe i społeczne mają słabe. Nie twórcy, lecz ofiary rewolucji. Bezwolne wióry historii.

Mauthausen, Gusen należą do tych obozów, którymi rządzą sadyści o wyobraźni bogatej. To też sadyzm tutejszy przybiera potwornie groteskowe formy. W obmyślaniu ich celuje komendant obozu, zniemczony Rusin, Chmielewski, oraz Eses, Schubert. Niezależnie od kar przepisowych, chłosty, karnych apeli, słupka, stosują kary dodatkowe. Za ukradzenie kawałka chleba wtłaczają więźniowi do ust rurę gumową połączoną z hydrantem i puszczają strumień wody. Igrzysko to kończy się oczywiście śmiercią delikwenta. Inną zabawę stanowi zrzucenie czapki więźnia poza granicę, której przestępować nie wolno. Następuje ucieszna zabawa. Posterunek strzela doń natychmiast, gdyż przekroczył zakaz wychylenia się za linię. Władze pękają ze śmiechu.

Nocna inspekcja baraku porywa cały blok na nogi, stawia w pozycji na baczność. Jeden z więźniów ciężko chory, wstając zatoczył się. Eses Schubert bije go, kopie, rozwścieczony wypędza wszystkich więźniów na dwór w bieliźnie, każe im stać do rana na baczność. Dopiero gdy nadchodzi chwila pobudki wolno im wejść do baraku, ubrać się, wypić śniadanie i ruszyć do pracy. Do takiej pracy bez snu, bez odpoczynku!

W pamięci więźniów utrwalił się pewien apel, po którym dziedziniec obozowy przedstawiał się jak pobojowisko. Jeden ksiądz zachłostany na śmierć, dwudziestu siedmiu ludzi zabitych kopniakami, około setki ciężko rannych z połamanymi rękami, nogami. Powód? . . . Mój Boże, jakiż mógł być powód? Jeden z więźniów, umierający z wycieńczenia, przywlókł się z dwuminutowym opóźnieniem na apel . . .

A to inne zdarzenie:

Eses Schubert pragnie ukarać więźnia Wiedeńczyka za jakieś błahe przestępstwo. Ukarać publicznie. Zmusza przestępcę by wszedł na wysoką, rosnącą na dziedzińcu sosnę. Górska, masztowa sosna, około 40 metrów. Gdy wspinaczka idzie więźniowi niesporo Eses popędza go strzałami z rewolweru. Nareszcie delikwent znajduje się na samym wierzchołku. — Śpiewaj! — ryczy obłąkaniec. Śpiewaj! — Ofiara śpiewa jedną z bezmyślnych hitlerowskich piosenek. — Śpiewaj głośniej! — śpiewa głośniej. Równocześnie na rozkaz Esesa dwaj dozorcy podpiłowywują sosnę. Wiedeńczyk wyje ze strachu, ale śpiewa. Gdy urywa, Schubert posyła w jego kierunku kulę rewolwerową. Śpiewa więc, śpiewa aż do chwili, w której drzewo wali się z trzaskiem. Wiedeńczyk zabija się na miejscu . . .

Stu ludzi patrzy na tę scenę, stu ludzi gotowych przysiąc, że tak było, że ani słowo w tej opowieści nie jest zmienione. Dla sadystów typu Schuberta nie wystarczy zabić człowieka. Trzeba go wpierw udręczyć, zmusić by wył z trwogi, by przeżył całą gamę uczuć niepewności, nadziei, lęku, rozpaczy . . . Dopiero wtedy kat jest zadowolony.

To w Mauthausen miało miejsce zdarzenie straszliwsze nad inne: przy spuszczaniu ciał do krematorium jeden z trupów, snać tylko zemdlony, usiadł na wózku i jął krzyczeć. Chłopak obsługujący piec chciał zatrzymać wózek, uratować nieszczęśliwego. Urzędnik Eses wrzasnął gniewnie, że zmarły przeszedł już przez kancelarię, że nie będzie go wskrzeszał . . . żywego człowieka wepchnięto do pieca.

Przed rokiem w Mauthausen i Gusen znajdowało się kilkuset księży polskich. Znosili pogodnie srogie udręczenia, przyczym obecność ich była dobrodziejstwem dla więźniów, a zachowanie przykładem. Szczególną cześć wzbudzał jeden z zakonników, sędziwy starzec. Czuł się w kamieniołomie naddunajskim podobnie jak św. Jan Ewangelista w kamieniołomie greckim na wyspie Patmos. Wszak on i jego towarzysze, kapłani, za to samo zesłani byli, co Apostoł. Udręczał ich ten sam wróg. Podobnie jak Jan w najcięższych chwilach czuli się wsparci o serce Chrystusa. I choć nie było im dane pisać Objawienia, wzrok ich równie bystry, jak wzrok Apostoła, przeglądał przyszłość, wyczuwał bliski upadek państwa zrodzonego z Bestii. Moc, jaką stąd czerpali, oddziaływała na współtowarzyszy. W czasie krótkiego niedzielnego popołudnia gromadki więźniów skupiały się wokół księży, by wziąć udział w ich modlitwie. Każdy symulował gorliwie zajęcie się jakąś robotą na niedzielę przeznaczoną, szyciem, praniem, cerowaniem, każdy przybierał jak najswawolniejszą pozycję. Gdy dozorca nadchodził śpiewano dla niepoznaki lub gwizdano. W rzeczywistości wszyscy sercem i duszą wisieli na ustach księdza, szepcącego łacińskie słowa Mszy św. Bez gestu, nie zdradzając się niczym prócz tego przejmującego szeptu, kapłan łączył się w imieniu swoim i obecnych z Ofiarami sprawianymi równocześnie w kościołach całego świata. Dzięki niemu wychudzeni kościeje, podobni chorym na śpiączkę pokryci ranami i wrzodami, jak Łazarz ewangeliczny, jednoczyli się ze szczęśliwymi rodakami, asystującymi tłumnie Mszy św. w kościołach warszawskich, krakowskich, lubelskich, w niezliczonych kościołach i kaplicach wiejskich. Czasem kapo spostrzegał, że dzieje się tu coś dla niego niepojętego. Wtedy władze otrzymywały raport na księdza, a niebo zyskiwało jednego męczennika więcej. Krótki był okres, w którym księża pozostawali pospołu z więźniami, udzielali codziennie zbiorowej absolucji, święcili ciche, zaświatowe Msze. Oprawcy spostrzegli się, iż to co miało być w stosunku do księży szykaną, zrównanie ich z resztą więźniów, stanowi źródło pociechy jednych i drugich. Wszystkich księży wywieziono zatym do Dachau, umieszczając ich w osobnym bloku.

MUZEUM FIGUR WOSKOWYCH

Dachau posiada opinię najstarszego " miejsca odosobnienia," macierzy, wzoru, według którego tworzono inne obozy. Zbudowano je po objęciu rządów w Niemczech przez Hitlera dla pomieszczenia komunistów. Zbudowano solidnie, na stałe. Porządne murowane budynki otoczone są iście średniowiecznymi murami. Dachau posiada zaletę, która wyróżnia je z innych obozów: jest w nim względnie czysto, czyściej niż gdzieindziej. I tam wprawdzie słoma sienników nie była zmieniana od lat, robactwa jednak mniej.

W Dachau przebywa stale kilkadziesiąt tysięcy ludzi narodowości niemieckiej, oraz wszystkich krajów okupowanych. Na początku roku 1942 znajdowało się około 6-ciu tysięcy Polaków, w tym 500 księży pomieszczonych osobno. Wspomniana poprzednio czystość nie przesądza o hygienie. Natłoczenie w sypialniach sprawia, że ludzie śpią w trzech kondygnacjach, jedna prycza tuż nad drugą. Zaduch i brak powietrza pomimo okien otwartych dniem i nocą, zimą i latem. Budynki są nieopalane. Wilgoć zebrana z oddechów osiada zimą na pryczach jako powłoka lodu. Miesięcznie umiera w Dachau przeciętnie 1890 ludzi. Opieki lekarskiej nie ma — jak wszędzie. Istnieje dobrze urządzony szpital, wspaniała sala chirurgiczna, wyposażona w najnowsze urządzenia, pokazywana wszystkim zwiedzającym obóz — nigdy jednak żaden więzień nie był w tej sali operowany. Naczelnym chirurgiem dla więźniów jest były felczer austriacki, uważający za swój obowiązek wysłanie jak największej ilości więźniów " przez komin."

Stosunki pomiędzy więźniami panują braterskie, nacechowane solidarnością. Szczególnie przychylnie odnoszą się do Polaków Niemcy komuniści, Węgrzy i Jugosłowianie — wrogo Czesi. Osobny świat tworzą Francuzi, Belgowie, Holendrzy, znajdujący się do niedawna. Norwegowie wywiezieni zostali do specjalnego obozu. Najliczniejsi są Niemcy, niektórzy przebywają tu od 8 lat. To weterani, bywalcy, instruktorzy nowicjuszów. Trzyma ich przy życiu nienawiść do hitlerowców i pragnienie zemsty. Zarzekają się iż nie umrą, dopóki nie zamienią się na role z dotychczasowymi prześladowcami. Z wynurzeń ich bije okrucieństwo tak straszliwe, że można wnosić, iż gdy przewrót w Niemczech nadejdzie, nikt postronny nie będzie potrzebował przykładać ręki do dzieła sprawiedliwości. Bóg jej dokona rękami Niemców samych.

Dachau istnieje tak dawno, że ludność okoliczna już się z nim zżyła, już wie i rozumie, że więźniowie nie są zbrodniarzami, lecz ofiarami reżimu. Gdzieindziej jest inaczej. Gdzieindziej propaganda niemiecka potrafiła wmówić tępej z natury ludności, że więźniowie to są ci właśnie, co mordowali niemieckie dzieci i niemieckie kobiety w Bydgoszczy. Niemcy zaś to złodzieje, fałszerze banknotów. Podobne przekonanie trudno jest przełamać. W pobliżu Dachau nikt nie żywi wątpliwości co do natury przestępstw, popełnionych przez internowanych i ustosunkowuje się odpowiednio. Powszechnie wiadomo, że więzień zwolniony znajduje natychmiast przyjaciół gotowych ubrać go, nakarmić, odwieźć, zaopatrzeć w pieniądze, co prawda, w życzliwości tej i troskliwości znać rys przerażenia. Na przybyłego patrzą niby na upiora, na widmo z tamtego świata.

Pokazowym punktem Dachau jest biblioteka, zaopatrzona w książki wielojęzyczne, oraz wcale wygodna czytelnia. Łatwowierni korespondenci pism neutralnych, delegatki Czerwonych Krzyży są jedynymi osobami, które kiedykolwiek wkraczają w jej progi. Podobnie jak sala chirurgiczna, biblioteka i czytelnia są niedostępne dla więźniów. Więzień i książka? . . . Kiedy? . . . jakim sposobem? chyba, że któryś więzień wybił się na stanowisko pracownika obozowego i piastuje urząd administracyjny.

Natomiast sprawiedliwość nakazuje stwierdzić, że kantyna obozowa, która w Oświęcimiu posiada puder i pastę do nieistniejącego obuwia, w Mauthausen sznurowadła i spinki do krochmalonych koszul — w Dachau zawiera cokolwiek produktów żywnościowych. W związku z tym, paląca jest dla więźniów, prawie obojętna w innych obozach, kwestia posiadania pieniędzy.

Największą osobliwość w Dachau stanowi jednakże nie kantyna, ale muzeum zawierające podobizny woskowe wybitnych osób, które tu zostały zamęczone. Twarz Schuschnigga otwiera ten dziwny pokaz własnego okrucieństwa. Wrażenie, które robi muzeum, przypomina uczucie, z jakim oglądałoby się kolekcję spreparowanych czaszek u kacyka " zbieraczy głów." Pod każdą maską znajduje się wyszczególnienie jej ewentualnych tytułów i doktoratów. W ten sposób Niemcy zaspokajają swoją drapieżność i swój snobizm. Na woskowych głowach księży, biskupów, pastorów nałożone są ich własne birety lub piuski. Prócz figur woskowych ponure to muzeum posiada bogatą kolekcję zdjęć.

Wybryki obłąkanego sadyzmu zdają się być w Dachau rzadsze, niż gdzieindziej, lecz przepisowe okrucieństwo regulaminu jest stosowane z drobiazgową dokładnością. Za przyszycie łaty do ubrania — śmiertelna chłosta, za potknięcie się — chłosta, za upuszczenie menażki — chłosta. Wypadki samobójstwa bardzo rzadkie wśród Polaków, rzadkie w Oświęcimiu, rzadkie w Mauthausen, zachodzą często w Dachau. Największy odsetek samobójstw przypada na Czechów, załamują się oni łatwo, zwykłym sposobem odebrania sobie życia jest rzucanie się na strzegące obozu druty wysokiego napięcia.

Zapewne dla oszczędności opału krematorium w Dachau bywa uruchamiane, gdy zbierze się pokaźna ilość trupów. Martwe ciała leżą zatym nieraz po tygodniu i dłużej zwalone na stos, nagie, z kartką, z numerem, przyczepionym do wielkiego palca lewej nogi.

I znów, jak wszędzie, księża katolicy są przedmiotem specjalnej nienawiści władz. Dawniej dzielili ją z Żydami. W ostatnim roku jednak Żydów bądź wymordowano, bądź wywieziono do osobnych obozów. Księża spełniają najcięższe, najbardziej odrażające roboty. Niedziela przedpołudniem przeznaczona jest na czyszczenie ustępów. Do księży należy roznoszenie zupy w kotłach, ważących po 120 kg. Noszą je w dwóch. Trudny do udźwignięcia ciężar dla niedożywionych ludzi. Przestrzeń od kuchni do bloków wynosi kilkaset metrów. Za rozchlapanie bodaj odrobiny zupy — chłosta, za zatrzymanie się w drodze dla nabrania oddechu — chłosta.

Jesienią 1941 roku, gdy władze Rzeszy zabiegały u Watykanu o wydanie Encykliki przeciw bolszewikom, w Dachau manifestowano pewne zelżenie kursu w stosunku do księży. Kolejno jeden z nich miał prawo odprawiać Mszę św. raz na tydzień. Ustępy czyścili inni więźniowie, księżom wręczono brewiarze przysłane przez Watykan. Okres ten trwał b. krótko. Stanowcza odmowa Ojca św. przywróciła z nawiązką poprzednie prześladowania. Brewiarze odebrano, szatan znów przeszedł do natarcia. Jakże strasznie nienawidzi wszystkiego, co mu przypomina, że na imię Jezus upadać musi wszelkie kolano niebieskie, ziemskie i piekielne! " Boga nie ma, jestem o tym przekonany — zapewniał jeden z Esesów — gdyby Bóg był, *istnienie takiego człowieka jak ja było by niemożliwe.*"

Zdarzają się samobójstwa również pomiędzy Esesami. Co je powoduje? Groza, obłęd, spóźnione wyrzuty sumienia, kainowa rozpacz? — Bóg jeden wie. Ostatnio duże wrażenie w świecie Esesu wywołało samobójstwo słynnego z sadyzmu komendanta więzienia łódzkiego, Kurta. Nie było wywołane obawą przed odpowiedzialnością sądową za nadużycia pieniężne. Eses Kurt cieszył się przychylnością władz partyjnych, uchodził za tęgiego eksterminatora Polaków, a w mieszkaniu pozostawił fantastyczny skarbiec w postaci klejnotów zagrabionych Żydom. Brylanty i perły szacowano na kilkanaście milionów. Przed czym uciekł, wybierając śmierć niż rzeczywistość? Jakie widma nawiedzały jego sen? Co wypełniło przedśmiertne chwile potwora, który własnoręcznie zabił ponad tysiąc ludzi, który siedząc wygodnie na krześle strzelał do przyprowadzanych doń dzieci żydowskich, a potem dobijał je obcasem?

---

* Por. część pierwszą cyklu druk. w nr. 30, część drugą druk. w nr. 31, i część trzecią druk. w nr. 32 " Polski Walczącej."

Armia Polska na Wschodzie



Meczety i minarety

I.

Artykuł ten z oczywistych względów, nie może dać pełnego obrazu dyslokacji, warunków życia i szkolenia naszej Armii, stacjonującej na terenie Iraku. Zostanie to opisane po wojnie, wraz z jej marszem do Ziemi Ojczystej. W obecnej chwili muszę się ograniczyć tylko do rzeczy "wzrokowych," czyli do tego, co się — ponad wszelką wątpliwość — rzuca w oczy każdemu, kto przybywa na obszar zajęty przez nasze wojsko.

Rozpoczniemy od stolicy kraju — najbardziej atrakcyjnego punktu dla przebywających tam żołnierzy-Polaków. A więc Bagdad. Dawniej miasto tysiąca i jednej nocy, miasto bajki, wspaniałych kalifów, pięknych meczetów i strzelistych minaretów. Niestety . . . W 1285 roku wojska mongolskie pod wodzą chana Hulagu położyły kres ostatniemu suwerennemu kalifatowi — Abbasydów oraz ówczesnej świetności tego państwa arabskiego. Po jedenastu dniach oblężenia, w czasie którego Mongołowie używali miotaczy płomieni z ropy naftowej, miasto padło. Kalif po poddaniu się został uduszony. 80 tysięcy mieszkańców zostało wyciętych w pień. Chan ulokował się w haremie kalifów, skąd poprzednio wyrzucono ciała 700 zamordowanych eunuchów i odalisek. Zrabowano skarby, złoto i srebro. Wreszcie Mongołowie miasto podpalili, podsycając pożary ropą. Z Bagdadu zostały zgliszcza.

Odtąd datuje się jego upadek. Panowanie tureckie, które nastąpiło po odejściu Mongołów i trwało około 500 lat, nic temu krajowi nie dało. Dopiero po 1918 roku, gdy ówczesna Mezopotamia — przemianowana na Irak — trafiła pod władzę brytyjską, rozpoczął się okres cywilizacji. Wkrótce Irak z rąk W. Brytanii otrzymał zupełną niezawisłość i stał się państwem — powierzchownie przynajmniej — do pewnego stopnia europejskim.

Obecnie Bagdad, jeżeli chodzi o śródmieście nie jest ani europejskim, ani azjatyckim miastem. Centrum stolicy nie zdążyło nabrać cech Europy, lecz Azja, a właściwie to, co się powszechnie zwie Wschodem — powoli zanika.

Peryferie tego arabskiego miasta, rzecz jasna, zachowały swój wschodni charakter. W Bagdadzie najlepiej widać proces budzenia się narodu, który po okresie wspaniałego rozkwitu przebywał w kilkusetletnim letargu dziejowym. Temu budzeniu się jednak, towarzyszy wzrost poczucia odrębności rasowej, potęgowanie się nacjonalizmu, z równoczesnym pogłębianiem się idei muzułmańskich.

Właśnie Bagdad jest głównym ośrodkiem promieniowania haseł panarabskich i fanatyzmu muzułmańskiego. Propaganda niemiecka wyzyskała te nastroje w całej pełni, kierując je przeciw W. Brytanii. Doszło do tego, że Irak na równi z Iranem /dawna Persja/ stał się terenem, pod każdym względem przygotowanym do inwazji niemieckiej poprzez Syrię, co — po upadku Krety — było bliskie realizacji. Na szczęście brytyjska dyplomacja skutecznie poparta siłą orężną, potrafiła się temu przeciwstawić na czas i bardzo celowo. Kontrpropaganda dokonała reszty. Dziś, jak wiemy, Irak jest w stanie wojny z Niemcami. Stan ten, a następnie częściowa mobilizacja, były przez ludność przyjęte z pewną dozą sympatii.

Stosunek do Polaków wśród inteligencji arabskiej jest dobry. Do niedawna jeszcze nie rozróżniano Polaków od Anglików. Myślano powszechnie, że to jest jakieś brytyjskie wojsko kolonialne. Obecnie każdy przeciętny inteligent-Arab wie, że jest to wojsko "Poloniki," która pierwsza stanęła w obronie swego honoru. W prasie arabskiej od czasu do czasu ukazują się bardzo przychylne artykuły o naszej Armii.

Niechęć do wszystkiego, co jest europejskie, skrajny konserwatyzm, a także fanatyzm religijny są bardzo duże. To nastawienie Arabów najlepiej widać w ich ubiorze. We wszystkich krajach muzułmańskich dokoła Iraku większa część kobiet pozbyła się już nieomal całkowicie swych dziwacznych zasłon na twarzach oraz długich, czarnych, sięgających stóp peleryn. Tu rzadko można spotkać kobietę inaczej ubraną. Mężczyźni — w zależności od stopnia dostatku — są ubrani albo w łachmany pozostałe po strojach narodowych, lub też w bogate czarno-białe szaty, suto upiększone złotem. Wszyscy Arabi noszą na głowach czałmy, lub kolorowe chustki ściągnięte wieńcem z rozmaitego rodzaju i koloru kostek. W rękach bogaci Arabowie trzymają bursztynowe, z perłowej masy, a czasami srebrne lub złote paciorki, podobne do naszych różańców. Jest to nakaz Mahometa, który postanowił, że przedtem nim się coś powie, należy przerzucić palcami kilkanaście paciorków i w tym czasie dobrze pomyśleć. Jedynie urzędnicy ubierają się po "cywilnemu," lecz i oni zamiast normalnego, europejskiego, nakrycia głowy, noszą wysokie czarne lub ciemno brązowe furażerki.

Główna arteria miasta ul. Harum-al-Raszyda jest prawdziwym obrazem walki cywilizacji europejskiej z wschodnim fatalizmem. Zabudowania wzdłuż ulic, niby europejskie, wykonane bez gustu, bez stylu i planu. Nieraz, na murowanych budynkach można spostrzec drewniane nadbudówki. Nigdzie — za wyjątkiem meczetów — nie widać troski o przyszłość i piękno, wszystko nosi cechy prowizorium, obojętności dla życia doczesnego i aż nazbyt widocznego niechlujstwa.

Sama świadomość posiadanego bogactwa już wystarcza, lecz bogactwo to nie jest ani wykorzystywane, ani eksploatowane. Dowodem tego są handlarze złotem. Na rynkach, wśród straganów z owocami, skórą, jarzyną, obuwiem, znajdują się sklepiki, w których można nabyć srebro i złoto czy to w postaci monet nieomal wszystkich krajów europejskich i wschodnich, czy to w sztabach. Gdyby nie złoto, można by myśleć, że właściciel takiego sklepiku jest to łazarz, który lada chwila umrze z głodu i wycieńczenia. W istocie jest to człowiek bogaty, który nie wiadomo po co chodzi w strzępach po arabskim ubiorze, z którego brud i niechlujstwo kapią literalnie. Jednak jego palce zdobią złote pierścionki, nieraz ozdobione drogimi kamieniami.

Aby dać pełny obraz tego co się dzieje w t.zw. "starych bazarach" należy wspomnieć także o handlu starożytnościami z Asyrii i Babilonu. Łatwo je nabyć w każdej ilości, należy jednak pamiętać, że wykonano je w pobliskich pracowniach, gdzie te "starożytności" są podrabiane ze zdumiewającą dokładnością.

Powracając do głównej i kilku do niej przylegających ulic i patrząc na "lepsze" magazyny, można stwierdzić, że w nich są tylko masy niemieckiej i japońskiej tandety — bardzo drogiej, która dopiero obecnie bardzo powoli zaczyna ustępować towarom brytyjskim i amerykańskim. W tych magazynach właściciele z reguły stawiają cztero- i pięciokrotne ceny i dopiero w zależności od stopnia uświadomienia kupującego Europejczyka, zniżają je nieco, lub też odmawiają sprzedaży. To też ceny w Bagdadzie i w ogóle w Iraku są okropne — nieomal trzykrotnie przewyższają ceny na terenie W. Brytanii. Nawet warunki gospodarcze kraju, do którego także i przed wojną trzeba było wszystko przywozić z zagranicy nie wyłączając nici do szycia i gwoździ do butów, nie usprawiedliwiają tego zdzierstwa. U jego dna leży chęć, a właściwie nieomal religijny nakaz — oszukania niewiernego.

Bez przesady można powiedzieć, że Irak jest to ponura wyspa wśród przyjemnych krajów: Palestyny, Syrii, Iranu i dalej położonych Indyj oraz Egiptu. W tym kraju tanie są tylko owoce. Co 10-ty sklep to owocarnia. Na rynkach są ich ogromne różnokolorowe stosy. Pomarańcze, cytryny, daktyle, orzechy, kawony, rodzynki, jabłka tworzą malowniczy obraz. Nie ma jedynie winogron. Tanizna owoców tłumaczy się tym, że z braku wywozu nie wiadomo co z nimi robić. W Palestynie Żydzi zaczęli pomarańczami i cytrynami użyźniać glebę, co daje wspaniałe rezultaty. Tu jednak tubylcy wolą tego nie robić, ponieważ w ogóle nie lubią robić czegokolwiek. Co się sprzeda, to pójdzie na zdrowie kupującemu, co się nie sprzeda, zgnije i zostanie wyrzucone do rzeki. /W związku z europeizacją miasta, do rynsztoków niczego wrzucać nie wolno./ Trudno jednak w takich warunkach podwyższać ceny, więc są one tylko "umiarkowane."

Poza główną ulicą i wąskim obszarem do niej przylegającym, żołnierzom wojsk Sprzymierzonych w innych dzielnicach miasta przebywać nie wolno. Zakaz jest przestrzegany z wielką ścisłością. Nawet Hindusom, którzy przecież mieszkają w "sąsiedztwie" zabroniono tam chodzić. Żandarmeria polska na spółkę z brytyjską i hinduską na tych samych samochodach gęsto patroluje zakazane dzielnice i natychmiast wyłapuje każdego, kto tam "zabłądził." Jest to słuszne, bo w najlepszym wypadku z tych dzielnic można wyjść z "pamiątką" na całe życie, czasami bez grosza, czasami bez gaci, bo jak się nastręczy okazja to i te części garderoby zdejmą — a czasami . . . można tam pozostać na wieki. Ponieważ z powodu tych "wypadków" wydano jasne i stanowcze zakazy, nikt ani do władz miejscowych, ani do "społeczeństwa" mieszkającego w tych dzielnicach — nie ma żadnych pretensyj. "Po co chodził? Wiedział przecież, że nie wolno! Wiadomo, że tamtejsza ludność gazet nie czytuje więc nie wie, że teraz to są Alianci, a że był dobrze ubrany no to . . . zabrali mu."

Taki już ten Bagdad jest . . .

Z drugiej strony jednak naród arabski ma dużo zalet. Cechuje go niewątpliwa rycerskość, religijna konieczność dotrzymania danego słowa jeśli się je dało, solidarność rodzinna ukoronowana prastarym zwyczajem krwawej zemsty. Poza tym jest to naród bardzo zdolny. Zwyczajny ślusarz, który dostanie browning, potrafi przy pomocy własnych narzędzi zrobić niemal taki sam — naturalnie bardziej "toporny," który jednak będzie strzelał i trafiał, a o to przecież chodzi. Pod względem zdolności językowych nie ma chyba drugiego tak zdolnego narodu na kuli ziemskiej. Chłopcy obsługujący kasyna, stołownie, kuchnie, sklepy NAFFI, po kilku tygodniach pobytu wśród Polaków, wsłuchując się jedynie w język polski i chwytając znaczenie poszczególnych wyrazów, mówią po polsku zupełnie płynnie i to bez żadnego obcego akcentu. W sklepach w Bagdadzie nieraz można się spotkać z odpowiedzią w dobrej polszczyźnie. Co do angielskiego to, rzecz jasna, każdy Arab włada nim zupełnie dobrze. Jako ilustrację tej fenomenalnej po prostu zdolności przytoczę następujący przykład.

Zbłądziłem raz, wałęsając się po Bagdadzie. Podszedłem do nieco lepiej wyglądającego Araba i poprosiłem o wyprowadzenie na główną ulicę. Zwróciłem się naturalnie po angielsku. Na to Arab, z pewną dozą ironii zapytał mnie po polsku: — "A cóż to pan po polsku nie umiesz gadać?" — "Umiem, ale skąd pan tak dobrze gadasz po polsku?" — "Mieszkałem dwa miesiące w Palestynie przy jednej polskiej rodzinie, która przyjechała z Polski." — "Brał pan lekcje polskiego?" — "Nie, gdzie tam; nie miałem czasu. Po prostu słuchałem, jak oni mówią i nauczyłem się." Niech który w ciągu dwóch miesięcy nauczy się po arabsku, słuchając ich mowy!

Przy Dowództwie Armii jest kurs języka arabskiego. Jest tam kilku słuchaczy. Po kilku miesiącach studiów słuchacze ci mówią tak, jak Arabi stosując "nasłuch," władają polskim po dwóch tygodniach. Nie chcę bynajmniej umniejszać przez to językowych zdolności Polaków, które są duże, lecz do Arabów nam — pod tym względem — niezmiernie daleko.

Niestety nie każdy z nás stał na wysokości zadania w tym obcym kraju i nie szanując swego munduru uczył chłopców arabskich wyrazów niecenzuralnych. Do mnie przez kilka tygodni przychodził chłopak z pobliskiej wioski z prośbą o resztki jedzenia. Początkowo, póki nie wytłumaczyłem mu znaczenia tych słów — chłopak grzecznie zwracał się do mnie w sposób następujący: — "Ty k . . . twoja mać! Daj coś zjeść." Gdy otrzymał jedzenie dziękował w ten sam sposób. Po tym naturalnie przestał tak mówić. Po kilku dniach, gdy znowu przyszedł po obiad powiedział: — "Ależ nawymyślałem temu łobuzowi, który mnie tak nauczył." — "A kto cię tak nauczył?" — "Nie mogę powiedzieć — to nie jest ładnie." Tacy są Arabi.

Wróćmy jednak na kilka chwil do Bagdadu, aby z niego wyruszyć myślą w rejon biwakowania Armii Polskiej. Miasto rozłożyło się po obu stronach rzeki Tygrys, która jest tu szerokości Wisły poniżej Grudziądza. Jest to prawdziwa rzeka-tygrys. Brunatno-żółta woda toczy się wartko. Drobna fala jest oświetlona słońcem — a więc nieomal zawsze od strony światła jest koloru żółtych pręg tego drapieżnika. Zacieniona strona fal jest nieomal czarna. Ta gra światła i cieni tworzy ponury widok.

Rzeka jest pełna wirów. Biada temu kto się tam znajdzie. Z pewnością nikt nie będzie go nawet próbował ratować. Najwyżej wzruszą ramionami. — "Po co tam lazł? Wiedział, przecież, że to jest Tygrys." Powierzchnia wody zawsze jest pusta, rzadko nędzny stateczek lub barka iracka ukazują się na jej pomarszczonej tafli. Smutna to rzeka, mimo że zawsze jest zalana słońcem.

Stojąc na środku mostu króla Feyzala I-go — ojca obecnego pięcioletniego króla Feyzala II-go, można podziwiać ogólny widok prawo i lewobrzeżnego Bagdadu. Szara masa murowanych budynków. Z niej wydostają się pokryte mozaiką kopuły meczetów i strzeliste minarety całkowicie pokryte polichromią o przepięknych deseniach koloru niebieskiego i granatowego, przeplatanych złotem. W wielu miejscach nad chropowatą powierzchnią masy domów wyrastają ciemno zielone korony palm daktylowych nieraz zgęszczające się w piękne i malownicze gaje.

Nad tym wszystkim zawsze błękitne niebo bez chmur, a na jego tle nieodzowne ptaki Wschodu — ogromne sępy krążące nad miastem majestatycznie, spokojnie i powoli wypatrujące żeru. Słońce w porze zimowej grzeje, jak u nas w Warszawie w maju; w lecie temperatura dochodzi do 70 stopni Celsjusza. Wtedy od godziny 10 rano do 5 — 6 po południu wszelkie życie ustaje. Sępy, które poprzednio wypatrzyły, gdzie co leży, wiedząc, że o tej porze nikt im przeszkadzać nie będzie, zlatują się i oczyszczają bazary, podwórka, podmiejskie rynki i rowy.

To jest obraz arabskiego prawdziwego Bagdadu.

Obok niego jest dzielnica europejska. Mieszczą się tam przedstawicielstwa dyplomatyczne, urzędy konsularne, oraz wille kolonii angielskiej. Jest tam także brytyjski cmentarz wojskowy poległych w tamtej wojnie, na którym obecnie znajdują przytułek umarli w Bagdadzie żołnierze Rzeczypospolitej.

W części europejskiej znajduje się też nasze poselstwo, świetlica PCK z doskonałą polską restauracją, Dom Żołnierza Polskiej YMCA, Poczta Polowa, Redakcja "Orła Białego" — organu prasowego Dowództwa Armii oraz schronisko dla "Pestek" przybywających do Bagdadu służbowo lub na urlop; gdzieindziej zatrzymywać się im nie wolno. W tej dzielnicy znajdują się także pewne rzuty niektórych oddziałów Dowództwa Armii Polskiej, będące pod ochroną polskiej kompanii wartowniczej, mieszczącej się w namiotach wśród palm. Dzielnica ta jest dopiero w trakcie rozbudowy. Mimo to, ta część Bagdadu posiada ładne bulwary obsadzone palmami i rzędami oleandrów sięgających do 4-5 metrów wysokości. W okresie kwitnienia krzewy te tworzą piękne, ciągnące się na dziesiątki metrów, ciemno różowe pasma. Tuż za tą dzielnicą zaczynają się duże palmowe gaje.

Oto jest garść spostrzeżeń, jakie zbiera każdy, kto w drodze do Armii Polskiej na Wschodzie zatrzyma się w Bagdadzie.

Widok Bagdadu z brzegu rzeki Tygrys



ARNOLD JASKOWSKI

Internowani żołnierze polscy w dolinie Rodanu

Na piaskach szwajcarskiego 'Tobruku'



IV. OBÓZ W SAILLON*

Ilekroć zdarzyło mi się rozmawiać ze Szwajcarami o ciężkiej pracy, wykonywanej przez żołnierzy polskich, nie spotykałem się nigdy z najmniejszym oddźwiękiem. To, że ktoś pracuje w pocie czoła i w trudnych warunkach, nie wywołuje w tym kraju żadnego wrażenia. Szwajcarzy sami przyzwyczajeni są do ciężkiej pracy i do wiecznej walki z przyrodą. Wszyscy są tu niezwykle zarozumiali na punkcie dokonanych osiągnięć i szczycą się posiadanym bogactwem.

Oczywiście zazwyczaj zapomina się, że Szwajcaria od setek lat nie przechodziła przez wojny i towarzyszące im zniszczenia. Gdy przeciętny Szwajcar porównuje stopę urządzeń i życia swego kraju z zagranicą, sądzi, że on właśnie pracuje więcej i lepiej i dlatego ta stopa jest wyższa. Gdyby tak zamienił się z pierwszym lepszym Polakiem, gdyby kraj jego przeszedł co pokolenie jedną, a niekiedy i dwie wojny — może zrozumiałby, że przyczyna tej większej zamożności leży w zespole całkiem innych czynników.

Niemniej jednak trzeba stwierdzić, że w Szwajcarii ludzie pracują dużo. Pracują może nie tak szybko, jak inne narody, dużo powolniej, niż Polacy, ale pracują solidnie i długo. Cały dzień Szwajcara to praca. Praca w biurze trwa dla urzędnika biurowego, z przerwą obiadową, do 18 wieczór. Rolnik od wschodu słońca do późnego wieczora grzebie się przy swym gospodarstwie zawsze czyściutko wysprzątanym w każdym kącie.

Szwajcaria niemiecka świeci tu przykładem niedoścignionym, a w niej czynnikiem największej pracy, pracy zdumiewającej, prowadzonej z całym samozaparciem, jest kobieta. Trzeba obserwować przez szereg miesięcy kobietę krzątającą się przy swym gospodarstwie w domu — przy kuchni i sprzątaniu, w ogrodzie, w polu — z kosą czy za pługiem, aby tę pracę należycie ocenić. "*Schaffen, putzen und sparen*" — żartowali nieraz internowani Polacy — wyczerpują treść życia szwajcarskiej kobiety.

W Szwajcarii francuskiej, do której należy w połowie kanton Valais z rozmieszczonymi w nim polskimi obozami nie pracuje się tak długo i solidnie. Nie ma tu tego "*glanzu*" i "*putzu,*" jaki obserwuje się wszędzie w Szwajcarii niemieckiej. Domy i obejścia są zaniedbane, graniczące raczej z gospodarką włoską lub francuską. Ludzie też są tu biedniejsi, mniej uprzejmi, usposobieni mniej "charytatywnie." Sprawia to niewątpliwie trochę klimat, rozleniwiająca obfitość słońca, biedna i z trudem zdobywana pod uprawę ziemia, wiecznie spragniona wody, dymiąca tumanami kurzu przy lada silniejszym podmuchu wiatru. Lecz i tu dokonana ludzka praca jest olbrzymia i tym bardziej może zasługuje na uznanie, że dokonana została w tak trudnych warunkach.

* * *

Droga prowadząca od Martigny do stolicy kantonu Sion, przebiega najżyźniejsze okolice Valais, nazywane ogrodem Szwajcarii. Wysiadam na dworcu w niewielkim miasteczku Saxon, dawnej stacji kąpielowej, skąd dobre 45 minut drogi prowadzi do leżącego po drugiej stronie Rodanu polskiego obozu pracy w S a i l l o n, w pobliżu małej wioski o tej nazwie, której jedyną atrakcją są stare mury zameczku, dawnej forteczki książąt Savoya.

Po obu stronach asfaltowej drogi, wiodącej na Sion, rozciągają się niezliczone ogrody owocowe i warzywne. Jest właśnie pora szparagów, wysyłanych masowo do wszystkich miast Szwajcarii, ale dojrzewają również truskawki i czereśnie. Miejscami powietrze zda się być przesycone zapachem truskawek. Nieco później dojrzeją morele, których okolice Saxon wyeksportowały w r. ub. podobno 3 miliony kilogramów.

Działki ogrodów z porozmieszczonymi wśród drzew owocowych willami wypełniają całą dolinę, w tym miejscu dość rozległą. Nad grzędami pochylają się skulone postacie ludzkie, przeważnie starych kobiet, przypominające grube wróble na krótkich nóżkach dziobiące leniwie ziarnko po ziarnku.

Skręcając w lewo przechodzę przez przejazd kolejowy, mijam łąki nad Rodanem, którego łożysko ujęte jest w wały przeciwpowodziowe, most, znów łąki i znów niezliczone ogrody pod wioską Saillon. Gdzieniegdzie rzucają się w oczy większe pola zbóż i kartofli.

Polski obóz pracy w Saillon powstał dn. 1 czerwca 1942; gdy odwiedziłem go liczył zaledwie 11 dni. Przedtem przyjechała tu grupa internowanych z obozu w Büren, postawiła kilkanaście przetransportowanych stamtąd baraków, i udała się następnie do Châtauneuf dla przygotowania tam nowego obozu. Zagospodarowanie tego pozostawiono stałym mieszkańcom. Przybyli oni w liczbie 160 z uprzednich miejsc pracy w obozach w Amlikon /39 ludzi/, w Bussnang /56/ i Kalchrein /66/.

Znów to samo zjawisko rozbicia i pomieszania oddziałów. Z Amlikon zabrano ledwie 30% kwaterującej tam, i niepełnej już zresztą, kompanii. Dobre i to, że wszyscy żołnierze skierowani do Saillon pochodzą z jednego batalionu. Znalazły się więc razem w obozie części stanów 4 i 5 kompanii strzeleckich oraz 2 ckm, 2 batalionu, 6 Kresowego Pułku Strzelców Pieszych.

Komendant obozu por. B. szczerze ucieszył się z odwiedzin.

—Niech pan zobaczy — mówi — jesteśmy tu jak na odludziu. Do Saxon, które leży niemal po przeciwległej stronie rzeki, trudne dojście z powodu braku mostu. Trzeba nadrabiać kawał drogi przez most od Saillon. Do wioski Saillon, która jest małą dziurą, około 1,5 km.

Mamy wykarczować, zniwelować i przygotować pod uprawę kartofli 53 ha, z czego około 30 ha to ziemia względnie sucha, a 23 ha — mokradła do osuszenia. Plan odwodnienia jeszcze nie istnieje i na ten temat trwają spory między fachowcami szwajcarskimi, którzy badają przyczyny nawodnienia. Wczoraj była tu właśnie komisja, która nie mogła się pogodzić. Jedni twierdzą, że woda przedostaje się z Rodanu, inni — że przedziera się z położonych niżej łąk po przeciwnej stronie. Nie czekamy oczywiście na stworzenie planu melioracyjnego, gdyż mamy w bród innej roboty. Rozpoczęliśmy ją zaraz po przybyciu; dotychczas wykarczowano 40 tys. m. kw. i skopano ręcznie około 18 tys. m.kw. Obóz znajduje się dopiero w początkach. Narzędzia pracy są jeszcze złe. Przysłano nam n.p. kilofy drogowe, a nie do karczowania. Nie ma jeszcze kuźni. Żołnierze pracują na dniówkę za 3 fr. dziennie. Akordu nie wprowadzamy, dopóki nie dostaniemy odpowiednich narzędzi.

—Chce Pan zobaczyć nasz "Tobruk"?

—Dlaczego Tobruk?

—Tak nasz obóz pracy nazwali żołnierze. Gorąco tu, jak chyba nigdzie w Valais. Ciepły, ostry wiatr unosi stale tumany piasku, którym sypie nie tylko w oczy, ale i do baraków. Na pryczach i w ubraniach pełno piasku. No — i to odcięcie od świata . . . A w dodatku komary i kąśliwe muchy lęgnące się na mokradłach.

Idziemy na teren pracy, położony niedaleko obozu. Karczunek, jak w innych obozach, pejzaż jednak nieco odmienny i rzeczywiście wyglądający na piaszczyste, rzadko zalesione odludzie. Karczująca kompania na długim odcinku atakuje zadrzewiony wzgórek. Tuż za karczującymi posuwają się oddziały z taczkami i łopatami. Zdejmują ziemię z wzniesień terenowych i zasypują nią mokre wgłębienia. Drzewo z karczunku idzie w połowie dla wioski Saillon, na której gminnym gruncie dokonywana jest praca, i w połowie dla obozów internowanych.

—Więc to jest wasz Tobruk?

Żołnierze przerywają pracę i gromadzą się wokoło. Niemal wszyscy obnażeni do pasa, spaleni na słońcu. Dużo młodych. Twarze na ogół pogodne. Słuchają chętnie, pytają, ciekawi wszystkiego.

—Teraz nie ma wiatru; niech pan tylko poczeka, gdy przyjdzie . . .

—A wolelibyście prawdziwy Tobruk, czy ten, szwajcarski?

—Pewnie, że lepszy byłby ten prawdziwy.

Stu sześćdziesięciu żołnierzy polskich zamkniętych jest w tym "Tobruku" szwajcarskim koło Saillon. I takich "Tobruków" jest więcej. Czy wytrwają? Na pewno wytrwają. Dwóch wprawdzie próbowało już uciec, ale schwytano ich. Szpary w barakach uszczelnią i zabezpieczą przed wiatrem i piaskiem. Przyzwyczają się do ukąszeń komarów i much. I pozostawią Szwajcarii 53 hektary ziemi pod nowe ogrody w okolicy Saxon.

* * *

—Te ogrody — mówi mi na dworcu spotkany żołnierz szwajcarski, pracujący w biurze Komendanta regionu w Aigle — to dzieło ostatnich piętnastu lat. — Mówi doskonale po polsku. Pracował w Gdańsku w Banku Francusko-Polskim, gdzie kazano mu nauczyć się języka polskiego. Pochodzi z Genewy. — O la — la! Ładna robota. Przed piętnastu laty prawie nic tu jeszcze nie było. Tylko winnice, ale te są wszędzie.

Jest wieczór. Zerwała się burza z rzęsistym deszczem. Mam jeszcze trochę czasu do pociągu i obserwuję ruch na stacji. Zarzucona jest dosłownie drewnianymi skrzynkami z nadrukiem: "*Produits du Valais,*" "*Fruits du Valais*" i nazwami firm handlowych w Saxon. W skrzynkach tych znajdują się truskawki, szparagi i inne wczesne jarzyny. Zwożą je czubate wózki konne i ręczne, ciągnione zazwyczaj przez młode dziewczęta, które segregują następnie skrzynki według miejsc przeznaczenia: Berno, Zürych, Bazylea, St. Gallen . . .

Stworzono całą precyzyjną organizację ekspedycji owoców i warzyw z Valais. Zebrane po południu i zapakowane wieczór owoce i warzywa, kolej rozwozi w ciągu nocy do centrów spożywczych północnej Szwajcarii, tak, że następnego ranka znajdują się już w sprzedaży w świeżym stanie. Dla rozwózki truskawek i czereśni koleje szwajcarskie uruchomiły od połowy do końca czerwca specjalne nocne pociągi.

Może kiedyś jakaś firma handlowa napisze na skrzynce obok nadruku "*Produits de Valais*": "zebrane na ziemi wykarczowanej i osuszonej rękami polskich żołnierzy . . ." Prawdopodobnie jednak nie napisze.

JAN JANUSZ

* Por. część pierwszą: "Gdzie woda zamieniła się w wino" druk. w nr. 29, część drugą: "Polska praca na obcej ziemi" druk. w nr. 30 i część trzecią: "Siekiera i szpadel zamiast karabina" druk. w nr. 32 "Polski Walczącej."

WIERSZE

SZANIEC

Nie zmarnować żadnego dnia,
zacisnąć zęby, wytrwać,
wygrywa, kto na duchu trwa,
choćby najcięższą bitwę.

Nie skomleć, chociaż ogień rwie,
nie jęczeć, łez nie trzeba,
zaprzeć się siebie, wygrać dziś,
bo jutro już się nie da.

Nie dać się, nie dać, ile sił,
na każdym polu bitwy,
ostatni pot wykrzesać z żył
i nie dać się, i wytrwać.

Nie u rozstajnych czekać dróg,
nie szukać wiatru w polu,
ale znieczulić w sobie krzyk
i być jak chleb ze solą.

JAN FACZYŃSKI

CICHO, SERCE . . .

Pani Komendantce Marii Leśniakowej — poświęcam.

Była morska jesień, rozpłakana chmurnie.
Kiedy pustą kartę deszczu wiatr otworzył —
wśród nieba i morza brzeg nieznany ożył
i odsłonił oczom kolorowy turniej:

w dalekich fioletach, zwilgotnionych mgłami
wpierw się wysyciła ostra czerwień dachów,
potem tłumy domków, willi, zamków, gmachów
i czarno-błyszczący asfaltów aksamit.

Mrugały oknami, by okręt powitać
na górzystym stoku spiętrzone, ciekawe,
mury w sukni z bluszczów ciemnozielonkawych.
(Właśnie potok słońca na szybach rozkwitał . . .)

Dobry brzeg serdecznie ręce nam otwierał —
nam, co ręce bliskich stały się dalekie . . .
Nad złudą "Powrotu" — gdy wzniosłam powieki —
polski, czysty błękit nieba się przecierał . . .

* * *

Dni zaczęły mijać. Na miesięcy krosnach
wyszywały co dnia krzyżyków godziny
wpierw szumiąca jesień i zielona zima —
pochmurne przedwiośnie — świergotliwa wiosna —

lecz nie przyszła dotąd ta czekana chwila,
co ostatni ścieg nam przez serca przewlecze.
Dotąd igłą myśli każe się kaleczyć
i nad haftem czasu codzień się pochylać . . .

O, umiemy czekać. Chociaż po raz czwarty
chłodne oczy wiosny podobnej, choć obcej
widzą nas, dalekich od granicznych kopców,
twardo czekających i w wierze upartych —

wiemy — przyjdzie "Jutro"!
Kolorowe plansze
barwnych pól francuskich w słońc bitewnych huku
oczom się otworzą, gdy tęczowym łukiem
przerzucimy Jutro mosty nad La Manche'm —
przebijemy głową w szaleństwie odwetu
murowane groby zbrodni i ciemności —
stratujemy sercem, co nie zna litości —
w porty się werżniemy płomienną korwetą — —
zatrząśniemy ziemią, wzburzymy powietrze!!!

. . . .

Cicho, cicho serce . . . Wkoło drzewa kwitną.
Senność się powietrzem rozlewa błękitna . . .
Młoda zieleń drzew się kołysze na wietrze . . .

Tak, nadejdzie "Jutro" . . . Dziś powoli znika
i na twarzach wzgórzy kładzie mgliste ręce . . .
— niskie mury w ciemnej bluszczowej sukience
tulą dróg gładziutkich kręcone strumyki . . .

* * *

Zanim ci pozwolą za wolność umierać,
nim wybuchniesz łzami radości powrotnej,
nim zabijesz pieśnią triumfu stokrotną — —
cicho, serce, cicho. Czekaj . . . siły zbieraj . . .

HALINA TERLECKA

Egipt pod znakiem Polski

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Niewiadomska i Olszyński w "Mazurku"



Z festynu P.C.K. w Kairze

Kair, 31 maja

Miesiąc ubiegły nazwać można doprawdy "polskim miesiącem" w Egipcie. Leżą przede mną stosy wycinków prasowych we wszystkich językach, jakie tylko posiadają w tym kraju obywatelstwo. Wszędzie Polska i Polska . . . O żadnym innym kraju nie pisało się tu ostatnio tyle, co o Polsce. Ale też propaganda nasza zabrała się nie na żarty do Środkowego Wschodu, w szczególności zaś do Kairu i Aleksandrii. Występy Teatru Żołnierza Polskiego, kairski festyn Polskiego Czerwonego Krzyża, uroczystości 3-majowe, wystawa wojskowych malarzy polskich, obchód rocznicy kopernikowskiej — wszystko to przypominało Egiptowi o Polsce i dostarczyło obfitego materiału prasie tutejszej.

Ów "polski maj" w Egipcie rozpoczął się właściwie już w ostatnich dwóch wieczorach kwietnia: wielkim festynem nocnym Polskiego Czerwonego Krzyża i repetycją, jaka odbyła się w przeddzień festynu. Obie te imprezy odniosły pełny sukces i wydatnie zasiliły fundusze P.C.K. Festyn, przygotowywany od dwóch miesięcy z górą przez specjalny komitet miejscowy pod przewodnictwem księżnej Szivekiar i przy wybitnej współpracy wypróbowanej przyjaciółki Polski na terenie tutejszym, księżnej Eminy Tussun, stał się prawdziwym "*clou*" kairskiego sezonu towarzyskiego. Odbyta w wigilię festynu repetycja zgromadziła szczupłe grono wybranych gości, wśród których zauważyć można było m.in.: J. Kr. M. Króla Grecji, dowódcę brytyjskich wojsk Śr. Wschodu, generała Wilsona, marszałka lotnictwa Douglasa i in. W próbie tej pokazał się po raz pierwszy publicznie Teatr Żołnierza Polskiego, który już od dziesięciu z górą dni święcił triumfy po kairskich obozach wojsk brytyjskich.

Nazajutrz wieczorem "cały Kair" zdążał do wspaniale udekorowanych i iluminowanych ogrodów Klubu Tewfikieh, gdzie w iście zaczarowanych ramach odbyć się miał festyn. Przybyło około 1,500 osób. Ogród zaległy tłumy najwytworniejszej publiczności kairskiej, zarówno egipskiej, jak i cudzoziemskiej. Rodzina Królewska, arystokracja, korpus dyplomatyczny, prasa — stawiły się w licznym komplecie. Pomiędzy frakami panów i olśniewającymi toaletami pań gęsto przewijały się mundury wojskowych polskich i alianckich.

Program festynu rozpoczął się od efektownej i malowniczej defilady kawalerii polskiej w strojach historycznych. Na wspaniałych "arabach" przedefilowali przed zachwyconymi oczyma widzów kolejno: husarze, Lisowczycy, dragoni, ułani ks. Józefa i t.d. Zbroje i mundury tych kawalerzystów wykonane zostały podług rysunków doskonałego malarza i znawcy przedmiotu, por. Siemiradzkiego. Defilada była filmowana i fotografowana.

Drugim numerem programu, który wywołał prawdziwą sensację, był występ Teatru Żołnierza Polskiego /lub, jak go tu nazwano, "*Polish Parade*"/, który po raz pierwszy w Kairze zademonstrował publicznie swój zespół. Równocześnie otworzyła swe podwoje restauracja, nazwana "*Chez ma cousine de Varsovie.*" Do świtu niemal bawiono się na festynie, tańcząc przy dźwiękach dwu orkiestr, z których orkiestra Warsa z Teatru Żołnierza Polskiego zbierała obfite żniwo oklasków.

Prasa kairska zamieściła wysoce pochlebne sprawozdania o festynie P.C.K. "Festyn ten" — pisał wielki dziennik tutejszy, "*Le Progres Egyptien*" — "był zabawą taką, że nie chciano w ogóle, aby się kiedykolwiek skończyła . . . Miało się wrażenie, że powróciliśmy do dawnych, przedwojennych czasów . . . Było pięknie, wesoło, cudownie . . . Można by po prostu powiedzieć: sensacyjny festyn, który zachowamy długo w pamięci."

Dzień 3 maja obchodzony był tu nader uroczyście. Na nabożeństwie w kościele Św. Józefa obecny był m.in. arcybiskup New Yorku, Mgr. Spellman, który udzielił zebranym błogosławieństwa Ojca Św. Prasa kairska poświęciła polskiemu świętu narodowemu dużo uwag. W "*Le Journal d'Egypte*" ukazał się artykuł niżej podpisanego "Warszawa walczy nadal . . ." "*Le Progres Egyptien*" zamieścił opowieść "Odnaleziona legenda" z rysunkiem Edwarda Matuszczaka. W "*La Bourse Egyptienne*" pojawił się artykuł wstępny pióra naczelnego redaktora, p. Jean Lugol'a "Dusza Polski." Wszystkie dzienniki zamieściły wzmianki okolicznościowe i depesze o przebiegu uroczystości 3-majowych w różnych krajach.

Tegoż samego dnia wieczorem Teatr Żołnierza Polskiego dał premierę swego programu w przepełnionej sali "*Ewart Memorial Hall*" /1.300 miejsc/. Premierze tej towarzyszyła istna powódź artykułów, wzmianek i fotografii w prasie miejscowej wszystkich języków. Echa prasowe występów naszego teatru żołnierskiego w Egipcie są czymś dość wyjątkowym, zarówno ilościowo, jak i jakościowo, zasługują na specjalne omówienie. Zdaniem najwybitniejszych tutejszych dziennikarzy żaden zespół teatralny nie miał w Egipcie takiego powodzenia i takiej prasy. Trudno jest przytoczyć lub nawet streścić wszystkie recenzje i artykuły o Teatrze Żołnierza Polskiego, jest ich bowiem kilkadziesiąt, przyczem wszystkie zawierają same wyrazy uznania. Zatrzymamy się więc tylko na najważniejszych.

Zaczynając od prasy w języku angielskim, stwierdźmy, że największy i najstarszy dziennik angielski Śr. Wschodu, "*The Egyptian Gazette,*" poświęcił naszemu teatrowi wojskowemu pięć artykułów, z czego trzy ilustrowane, oprócz licznych drobniejszych wzmianek i fotografii. Pierwszy z tych artykułów, p.t. "Polacy podczas wygnania przypominają sobie na pustyni sceny warszawskie," ukazał się w "*The Egyptian Gazette*" jeszcze przed przyjazdem teatru do Egiptu. Opisywał on szczegółowo sukcesy naszego zespołu w Bagdadzie, przedstawienia w m.p. Armii polskiej na Wschodzie i zapowiadał niedaleki przyjazd teatru do Kairu.

Drugi obszerny artykuł ukazał się w tym dzienniku zaraz po pierwszych występach czołówki w brytyjskich obozach wojskowych w Kairze. Zatytułowany był: "*Polish Parade*" miała Holywood na czele swej widowni — Najlepsze przedstawienie Środkowego Wschodu." W artykule tym "*The Egyptian Gazette*" przytoczyła opinię o teatrze, zakomunikowaną dziennikowi przez Bruce Maninga, głośnego reżysera hollywoodzkiego i producenta filmów Deanny Durbin, oraz Boba Maxwella, za czasów pokojowych dyrektora głośnego "*Radio City Theatre*" w Nowym Jorku. Dziennik stwierdza, że ujrzawszy raz nasz teatr, Manning zjawiał się potem na szereg kolejnych przedstawień, tak bardzo mu się nasz zespół podobał. Obaj amerykańscy fachowcy, służący obecnie w armii na Śr. Wschodzie, wyrazili wobec autora artykułu entuzjastyczną opinię o teatrze.

Trzeci artykuł pisma, opublikowany po premierze w "*Ewart Memorial Hall,*" nosił tytuł: "Polska Parada zapiera ci dech w piersiach." "Co uderza przede wszystkim w tym zespole" — pisze recenzent — "to jego energia i entuzjazm . . . Pośród poszczególnych numerów programu na czoło wybija się wspaniały naprawdę taniec Sławy i Jerzego Neyów, który mógłby stanowić najbardziej atrakcyjny numer najlepszych teatrów Londynu i New Yorku . . . Polskie tańce ludowe były istnym huraganem koloru i ruchu, który można by zobrazować jedynie przy użyciu najwyższych superlatywów.

Angielski tygodnik "*The Sphinx*" poświęcił Teatrowi Żołnierza Polskiego dwa całostronicowe artykuły ilustrowane i jedną obszerną recenzję. W tej ostatniej, zatytułowanej "Polska Parada — świetne przedstawienie," tygodnik ten pisze: ". . . Jedno z najwspanialszych przedstawień, jakie kiedykolwiek widziano w Kairze . . . Polski teatr jest czymś całkiem oryginalnym, a gra z takim ogniem i zapałem, że publiczność ogarnięta zostaje przez ekstatyczny entuzjazm . . . Nie potrzeba było rozumieć ani słowa po polsku, aby pojąć te skecze, doskonale odegrane . . . Sylwetka Chaplina, stworzona przez Fabiana, stała na wyżynach sztuki scenicznej . . . Oleńska i Ruszała wprawili widownię w istne konwulsje śmiechu swą parodią tańców . . . Tańce stanowiły widowisko pełne barw, wspaniale odtworzone . . ."

"Wczorajszy wieczorny debiut Teatru Żołnierza Polskiego" — pisała "*La Bourse Egyptienne*" — "był po prostu sensacyjny. Odniesiony sukces był zupełny, całkowity . . . Nie trzeba wcale znać języka polskiego, aby w pełni ocenić wartość tego pierwszorzędnego zespołu."

I tak wszędzie, w całej prasie. Wielkie tygodniki ilustrowane takie, jak "*Images*" lub "*Al Itnein*" poświęciły teatrowi całe kolumny fotografii. Na każde niemal przedstawienie przysyłano fotografów prasowych, którzy dokonywali zdjęć.

Pięć przedstawień w wyprzedanej sali "*Ewart Memorial Hall,*" jedno w "*Music for All*" /tłok był taki, że ludzie nie mieli gdzie stać/, dwa pokazy specjalne przed Królem Egiptu, Farukiem, blisko dwadzieścia spektakli w obozach wojskowych i po szpitalach — oto bilans miesięcznego pobytu naszego teatru w Kairze.

A ten sukces kairski był jeszcze niczym w zestawieniu z triumfem, jaki artyści nasi odnieśli w Aleksandrii. Grali tam trzy razy w przepełnionej sali teatru "*Alhambra,*" mieszczącej 1,600 osób. Na trzecim przedstawieniu, z którego dochód przeznaczony był na Polski Czerwony Krzyż, obecna była cała śmietanka towarzystwa aleksandryjskiego, z gubernatorem, prezydentem miasta, admirałami brytyjskimi, korpusem konsularnym i t.d. na czele. O przedstawieniu tym "*The Sphinx*" napisał: "W ciągu pięćdziesięciu lub więcej lat ostatnich teatr *Alhambra* rzadko widywał spektakl o tak wspaniałej wartości i blasku . . ." "Był to triumf towarzyski" — stwierdził "*Le Journal d'Alexandrie.*" — "Istna apoteoza sztuki . . . Nigdy dotychczas żaden sukces nie dorównał temu, jaki odniósł Teatr Żołnierza Polskiego w *Alhambre*" — pisała "*Le Reforme.*"

Podczas pobytu swego w Aleksandrii teatr nasz nie zapomniał i o wojsku. Dano przedstawienie w obozie marynarki brytyjskiej i dwa spektakle w teatrze "*Alhambra*" dla oddziałów VIII-ej armii. Przedstawienia te zamieniły się w wielkie manifestacje sympatii dla Polski ze strony żołnierzy brytyjskich. Na jednym z nich przemawiał brygadier brytyjski, na drugim — podpułkownik i sierżant, wszyscy z VIII-ej armii, dziękując artystom i składając hołd Polsce i jej sztuce.

Pełny sukces odniosła też wystawa polskich malarzy-żołnierzy, urządzona w Kairze i później — w Aleksandrii. Wzięli w niej udział artyści-malarze: Józef Czapski, Józef Jarema, Edward Matuszczak, Młodnicki, Turkiewicz i in., wszyscy z Armii Polskiej na Wschodzie. Prasa kairska i aleksandryjska poświęciła wystawie szereg obszernych artykułów, sprawozdań i studiów, czasem ze zdjęciami eksponatów. Ogólnie podkreślano rzetelny wysiłek artystyczny naszych malarzy w mundurach, którzy pomimo wojny i związanych z nią ciężkich warunków, nie ustają w pracy i doskonaleniu się.

Uroczystości kopernikowskie uczczone zostały przez Egipt bardzo podniośle. Prasa poświęciła uczonemu naszemu szereg artykułów. M.in. "*Le Journal d'Egypte*" ogłosił obszerny artykuł niżej podpisanego z ilustracjami, p.t. "*Un grand Polonais qui fixa le soleil dans l'Espace.*" Instytut Egipski uczcił rocznicę specjalnym posiedzeniem, na którym głos zabrali: głośny pisarz Dr. Taha Hussein bey /po arabsku/, dr. Max Meyerhof /po francusku/, Dr. Mohamed Riwa Madwar /po arabsku/ i Prof. dr. Ali Mustafa Moszaraffa bey /po angielsku/.

Miesiąc maj, polski miesiąc, zasłużył naprawdę na to miano w roku bieżącym, w Egipcie. Przypomniał on temu zawsze tak życzliwemu dla nas krajowi, że Polska nie zginęła, że istnieje zawsze, że żyje nieśmiertelna, w dziełach swych synów.

ROMAN FAJANS

Husarze z defilady kawalerii polskiej



Bez black-outu

"Butcher," "grocer," "baker," "fishmonger" i "fruiterer" odgrywają w życiu rodziny szkockiej większą rolę niż by na pozór mogło się wydawać. Każdy z nich zna dobrze familijne radości i troski ludzi mieszkających w zasięgu jego działania. Oczywiście wojna wiele zmieniła, ale jeszcze dzisiaj można zaobserwować tu i ówdzie fakt uroczystego niemal celebrowania przez panią domu wielkiego zamówienia w sklepie grocera, gdzie customerem jest ona od 25 lat, gdzie przed 50 laty jej mama była customerem, gdy dzisiejszy siwy grocer rodził się dopiero z łysego ojca grocera-seniora i t.d. Baker może ci zdradzić w zaufaniu niejedną tragedię życiową dzielnicy miasteczka, fishmonger zorientuje cię w sprawie wolnych mieszkań a fruiterer — bez szkodliwego plotkowania — szepnie słówko o stopniu zamożności tego czy innego klienta, orientację biorąc z zakupu pomidorów, cebuli i sałaty, którymi to warzywami handluje z obrzydzeniem w braku owoców południowych. Nie należy lekceważyć także wpływu propagandowego, jaki ci ludzie wywierają na swoich stałych bywalców.

Mój znajomy butcher dzielnicowy, edynburski mr. W. zaczepił mnie niedawno uśmiechając się przyjaźnie, a gdy po tradycyjnym wstępie meteorologicznym i omówieniu wiatru edynburskiego przeszliśmy do spraw politycznych Mr. W. powiedział szczerze: "Chciałbym kiedyś dłużej prywatnie porozmawiać z panem i poznać pańskich polskich przyjaciół..." Oczywiście zaprosiłem go do siebie na małą polską "party" z udziałem kilku kolegów. Gdy zapowiedziałem im, że przyjdzie szkocki butcher prawie równocześnie wszyscy wypowiedzieli głęboko ukrytą moją myśl własną: "O czym będziemy z nim mówić?" I na gwałt zabrali się do roboty: jeden przygotowywał temat uboju bydła, drugi szukał w słowniku szczegółowych nazw dziczyzny, trzeci wypracowywał rys porównawczy na temat polskiego bekonu i szkockiej baraniny.

Party u mnie zaczęła się dla tych, którzy nie znali butchera pewną niespodzianką. Przyszedł bowiem szczuplutki, bardzo blady, cichy gentleman w granatowym ubraniu, bardzo starannie ogolony. Czułem, że koledzy moi oczekiwali jegomościa mocno zażywnego z czerwonym nosem, krzykliwie ubranego, o donośnym sposobie mówienia i rubasznym śmiechu.

Blady mr. W. twierdzi, że przed wojną wyglądał znacznie lepiej, ale dawne to czasy; w sklepie zabrakło pięciu pracowników, został on sam z jednym starym i jednym młodym pomocnikiem. Spadł na niego cały ciężar zestawień, rozliczeń z Urzędem Wyżywienia, kłopotów z kartkami żywnościowymi, starań o jakie takie normalne prowadzenie businessu. Mr. W. od trzech lat codziennie kładzie się spać dopiero o 12 w nocy, dwa razy w tygodniu wstaje o 5 rano, gdyż o 5.30 "enjojuje" już ćwiczenia Home Guard, trzy razy w tygodniu sypia tylko po trzy godziny od 12 w nocy do 3 rano, bo już o 3.30 zaczyna pracę w sklepie. Obiecuje sobie obecnie wiele po jakiejś fachowej sile żeńskiej, którą spodziewa się dostać do pomocy. Wyliczył że będzie 2 razy w tygodniu miał o 2 godziny więcej do swej dyspozycji. Czy będzie spał? O nie. Te dwie godziny poświęci na ulubionego golfa, o którym teraz nie ma mowy.

Od wybuchu wojny Mr. W. był w kinie 2 razy... A jednak na tę polską party znalazł chwilę czasu przy sobocie. Zaznacza, że musi od nas jeszcze wrócić do sklepu, jednak myśli, że i ta krótka rozmowa przyniesie mu wiele. Jeszcze nie orientujemy się w gościu, jeszcze nie wiemy o co idzie. Więc jeden wyjeżdża ze swoim ubojem bydła, drugi zaczyna rzecz o dziczyźnie, a trzeci brnie w baraninę.

Na pytania ubojowo-bekonowo-baranie odpowiada ze stoickim spokojem, bez żenady, fachowo jakby przygotowany z góry na taki a nie inny temat rozmowy. Ale już przy pierwszym papierosie, których pali wiele i nerwowo, sam na plan daleki spycha bekony i barany zagajeniem dyskusji o ustroju Polski przedwojennej, o zaludnieniu ziem polskich i charakterystycznych cechach naszego narodu. Mr. W. wyjaśnia: "Interesuję się Polską, bo w sklepie u mnie bywa wielu Polaków, załatwiam dostawy do kuchni niektórych polskich oddziałów. Cenię u Polaków doskonałe maniery, nigdy niespotykaną tu dotychczas u cudzoziemców wytworną grzeczność, ale w sklepie, jak w sklepie, przychodzą do mnie także różni Szkoci z rozmaitych sfer. Zdania są podzielone: różnie mówią o Polsce i Polakach. Wykłócam się i tracę masę czasu na dyskusje. Więc chciałbym pogłębić moje wiadomości, urobić własne zdanie i dlatego pragnąłbym zbliżyć się do was..." Kolega "ubojowiec" przynosi album ze zdjęciami, kolega "baraniarz" wyciąga jakieś publikacje o Polsce, a specjalista od dziczyzny chrząka i podaje mapę. Ja mówię: "Polska to kraj rolniczy..."

Mr. W. przeprowadza porównanie między Polską i Szkocją. Gdy mówimy o sile żywotnej wsi polskiej Mr. W. sławi mądrość pasterzy szkockich, zagłębia się w filozofię "highlanderów" i biada nad niewątpliwym zdeprawowaniem, jakiemu uległ lud szkocki po ostatniej wojnie. Rezerwaty piękna i cała życiowa mądrość ocalała — według zdania Mr. W. — wysoko na północy w górach Szkocji wśród pasterzy — shephardów. Ten butcher szkocki prowadzi nas w pięknym opowiadaniu przez uroczyska Szkocji, wykazując doskonałą znajomość historii i wielkie oczytanie.

Przypomina mi się stary przyjaciel z osady górniczej Douglas Mr. Galbraith, który będąc zamiataczem ogródka i placu zabaw dziecięcych prawił mi wieczorami, nie bardzo jeszcze wówczas zrozumiałe opowiadania o pięknie i szlachetności ludzi gór. Na pamiątkę przy rozstaniu tenże zamiatacz ogródka dał mi ozdobny tom poezji Burnsa, którego recytował z pamięci na zawołanie. Witaliśmy się codziennie rano słowami poety: "My heart is in the highland, my heart is not here."

"Party" zaczyna być interesująca. Butcher podkreśla szczerość, z jaką podchodzi do zagadnienia polskiego: "Wydaje mi się, że niepodobna wydawać opinii o narodzie 34 milionowym na podstawie obserwacji przebywających na tej wyspie 30 tysięcy Polaków. Nie chcę was obrazić, ale ktoś mi powiedział w sklepie, że najlepsi Polacy zostali w kraju... Oczywiście także tego nie można uogólniać, bo źli i dobrzy ludzie mieszają się w każdym społeczeństwie. Polacy trochę sobie popsuli opinię tutaj — szczególnie wśród mężczyzn — ustosunkowaniem się do dziewcząt szkockich; natomiast wśród dziewcząt popsuli sobie opinię zbyt pochopnie wypowiadanym i niedotrzymywanym: "I love you." U nas: "I love you" zobowiązuje, u nas nie mówi się tego na wiatr, choć wiatru w Szkocji mamy dużo... Raz powiedziane to słowo świadczy o poważnych zamiarach. To nie to samo, co kontynentalne: "kocham..."

Niektórym kolegom rzedną miny. Mr. W. porusza nowy temat, który — jak sam zaznacza — bardzo żywo interesuje większość opinii szkockiej: "Przypuszczamy, że niektórzy Polacy, wobec ogromnego zniszczenia waszego kraju, na którego odbudowę wedle naszych obliczeń trzeba wam będzie 15 lat czasu — będą woleli pozostać tutaj a specjalnie ci, którzy pożenili się u nas. Co myślicie o tej sprawie?" W głosie jego czuć było tajoną, dyskretną obawę, obawę wielu sfer szkockich, pamiętających straszliwe bezrobocie po pierwszej wojnie światowej.

Na nasz polski sposób tak obcy umysłowości brytyjskiej zaczęliśmy mu mówić o wrodzonej nam tęsknocie do ziemi ojczystej, o chęci pracy w jakichkolwiek warunkach byle z korzyścią dla kraju, stwierdziliśmy, że egoistyczne rozwiązanie spraw osobistych tych ludzi, którzy założyli tu rodziny byłoby niemoralne i szkodliwe dla sprawy polskiej. Mr. W. ożywia się: "All right, all right! Będziecie musieli ciężko pracować. Może szkockie dziewczęta wam pomogą, bo także są pracowite. Tylko nie bierzcie do pomocy Irlandczyków! Miałem raz jednego pomocnika Irisha. Klientom w sklepie albo wykładał tezy religijne, albo z nimi politykował. Już wolę Anglików, chociaż i oni nie zrobiliby dużo gdyby nie Szkoci. W rządzie, w przemyśle — wszędzie Szkoci..."

Uśmiechnąłem się do własnych wspomnień; jak bardzo jednak ten szkocki "fanatyzm" dzielnicowy przypomina atmosferę lwowską z lat po r. 1930. Ileż to razy u nas we Lwowie szemrało się w rozmowach tak samo zawzięcie i tak samo niegroźnie na to, że "Warszawa" zabiera wszystkich co najlepszych i wszystko najlepsze.

Mr. W. rozpolitykował się na dobre; porusza nowy temat. Oczywiście kwestia rosyjska. Różnie ludzie mówią na ten temat w sklepie, więc radby usłyszeć nasze zdanie. Nie tracimy słów. Ktoś na mapie wskazuje kilka miejscowości na dalekiej północy Rosji i wymienia cyfry... Inny pokazuje dwa miasta polskie i szepce kilka dat... Ktoś z albumu fotograficznego wyjmuje zdjęcie polskiego chłopca, przywiezionego do Iranu po "pobycie" na Północy: chłopak jest nagi i leży na łóżku szpitalnym — szkielet. Nie chce się wierzyć, że to żywa istota. Mr. W. przypatruje się długo i straszliwie blednie, wargi mu drżą, oczy stają się szare. Nie pyta o nic, jest głęboko wzruszony.

Mija teraz długa chwila, a dopiero, gdy zapalamy papierosy, Mr. W. rzuca ciekawą uwagę: "My Brytyjczycy, mimo pozornej liberalności, nawet ekscentryczności poglądów, jesteśmy straszliwie wewnętrznie zdyscyplinowani, a więc łatwo dajemy się kierować. Wielu naszych ludzi myśli ściśle kategoriami prasy, którą od lat codziennie rano czytują. Opinia gazety staje się opinią czytelnika. Często jednak zdarza się w Wielkiej Brytanii, że gdy rząd zmienia myśl, prasa zmienia pogląd, wtedy czytelnik może zmienić opinię... O tym nie powinniście zapominać."

Ten niezwykły butcher wyraził tylko duże zdziwienie, że jednak mimo wszystko istnieją pewne wspólne placówki rosyjsko-polskie, działające mimo zerwania stosunków dyplomatycznych. Mr. W. stwierdził, że niektórzy Szkoci bardzo się cieszyli z tego. Co się okazało? Ktoś z Polaków pokazał w sklepie powtarzające się aż do znudzenia w niektórych dziennikach polskich ogłoszenie: "Rosyjsko-polski kabaret "Petrouchka" w Londynie." Mr. W. mówi: "Nie zrozumieliśmy dobrze tego Polaka, trochę nas to dziwiło, ale w gruncie pomyśleliśmy sobie, że może ten kabaret to początek współpracy..." Cała więc nadzieja w "Petruszce."

Rozmowa schodzi na ów słynny "postscript" radiowy polskiej lady z samochodem, ale mr. W. rozumie, że to był jakiś przykry wyjątek, jakieś nieporozumienie w B.B.C. On bowiem zbyt dobrze zna polskie panie, które odwiedzają codziennie jego sklep, by mógł w to uwierzyć. Wie, że te kobiety same gotują, sprzątają, piorą, jak inne szkockie "lassies," wie, że mają dużo zmartwień, i czasem w zaufaniu mówią o tym. Cieszą się one bardzo każdą lepszą wiadomością polityczną, a gdy pada słowo: powrót, lub słowo: dom — dziwnie błyszczą oczy polskim paniom... "O, proszę pana — mówi mr. W. — butcher niejedno wie."

Coś przypomniał sobie miłego nasz gość, gdyż uśmiecha się rozanielony. Aha, wczoraj widział Królowę Elżbietę. Tak jest. Jechała z królem tuż koło jego businessu. Sklep tonął we flagach. Szkotki stały wzdłuż chodników, dzieci oczywiście właziły na jezdnię. Mr. W. zauważa: "Wie pan, my nie umiemy wiwatować. Tak jakoś coś tam pokrzykiwały dzieciaki i baby, ale nasz naród nie umie krzyczeć ani na cześć ani na hańbę. Owszem my umiemy głośno cieszyć się z przedstawienia, czy uprawiać "community singing," ale naszej miłości czy nienawiści nie umiemy uzewnętrzniać."

Wyrażam mój podziw, że ulica, przez którą przejeżdżała para królewska była bez kordonu i tylko jeden policjant stał na skrzyżowaniu wielkiej ulicy. Mr. W. natychmiast śpieszy z wytłumaczeniem: "Ależ ten policjant znalazł się tam przypadkowo; chodziło tylko o regulację ruchu. To nie mogłoby się zdarzyć dawniej. Pamiętam wizytę Króla i Królowej w Edynburgu przed wrześniem 1939. Wszystkie dzieci z dzielnicy Granton stanowiły asystę pary monarszej w czasie wizyty w Ogrodzie Botanicznym. His Majesty oglądał sobie kwiaty a "nasza" Królowa rozmawiała z dziećmi. To było bardzo ładne...

Król i Królowa z dziećmi wśród kwiatów, swobodni. Butcher szkocki tak to widzi. A my? Czy w ogóle widzimy? Znałem jednego wicestarostę, któremu przez kordony i asysty nigdy nie mogłem dosyta się napatrzeć przez 20 lat niepodległości. Szkoda!

Mr. W. mówi na odchodnym, że takie wieczory jak dzisiejszy zbliżają ludzi i wyjaśniają wiele rzeczy — uczą. "Może teraz w sklepie będę mógł łatwiej prostować niektóre mylne opinie o was. Na szczęście nie ma jeszcze "racjonowania" na mówienie prawdy..." — powiedział na zakończenie ten wcale nie-kontynentalny butcher.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Skrzynka pocztowa

PRZED CHWILĄ POWROTU

Szanowny Panie Redaktorze,

"Niemcy w radio grają Wagnera... W Białym Domu bije "zero hour." Te bez black-out'owe sugestie p. Budzyńskiego porywają z sobą myśl w to niedalekie już jutro. Słyszymy coraz wyraźniej koncert RAF grany Niemcom, i sami akompaniujemy, nie żałując innych nieco bomb — głębinowych.

O emocji ostatniej rozgrywki i nastroju radosnego wyczekiwania już powiedziano. Niech mi wolno będzie na chwilę rozważyć nieco inne jeszcze pytanie. Czy jesteśmy świadomi, że owa zbrojna gotowość na stanowiskach, to jeszcze nie wszystko? Przeważnie czekamy końca wojny, nie zawsze jeszcze myśląc o początku nowego okresu. A przecież ów dzień przełomowy, to wschód pierwszego dnia codziennej pracy. Czy jesteśmy gotowi do zaciśnięcia dłoni przy warsztacie pracy?

Zdaniem moim, pytanie to równie jest na czasie, bo "szczęście nie może nas zaskoczyć." Odpowiedź jest konieczna. Za nami pozostały cztery lata odmiennego trybu życia, odmiennych uczuć i myśli. Nauczyliśmy się żyć chwilą. Mechanizm wojny, wgniótł w ziemię wszelką indywidualną myśl. Może nam grozić niebezpieczeństwo wad życia nabytych w czasie wojny, rozleniwienie nieróbstwa umysłowego, oraz automatyzm życia.

W czasie wojny, na tych najniższych szczególnie szczeblach, myśleć nie trzeba, to "utrudnia życie." Czy potrafimy po wyjściu z szeregu, iść dalej sami nie kierowani żadną komendą, z jednaką pewnością siebie?

Nadszedł czas na rachunek sumienia. Musimy się upewnić, czy ów idealizm, z jakim o cztery lata młodsi, przedzieraliśmy się poprzez jesień ponurą do Francji, żyje w nas w tym samym młodzieńczym natężeniu.

Zadajmy sobie pytanie, czy wola walki o święte prawa narodu trwać będzie jednako w szare dni pokoju... I czy owa tęsknota ludzi bezdomnych, przeżarła na tyle wszystkie nasze tkanki, by już zawsze, nie tylko w czas niewoli, cenić odzyskane szczęście? To rzecz naszego serca. Czy cierpienie uszlachetniło?

Musimy już dziś widzieć jasno drogę, na którą wstąpimy gdy ucichną odgłosy bitewne. Musimy być pewni, że docenić potrafimy błędy przeszłości. Że w krwawym zmaganiu o życie dojrzeliśmy sens naszego istnienia: pracę społeczną, altruizm a nie egoizm. To zaś jest rzeczą naszego rozumu.

Dokonać się musi w nas samych to wielkie dzieło, gdyż jutro, ku któremu zbliżają nas wypadki wojenne, to w brzasku sterczące ruiny i popioły... Czeka nas wielki trud, który wymaga zjednoczonego wysiłku. Zdobyć się nań będziemy mogli, gdy istnieć będzie gotowość myśli i serca.

Nie wiem, czy udało mi się w tych paru słowach, zobrazować tę konieczność, którą narzuca niedalekie już zadanie odbudowy Ojczyzny. Myślę jednak, że rozumieją moją intencję szczególnie młodzi, owi zapaleni idealiści, którzy wprost od szkolnych ław, lub warsztatów pracy, poszli na wojnę, zabierając z sobą zapas cały młodzieńczych marzeń, by je realizować, by wywalczać wciąż lepszą Polskę.

Trzeba więc już dziś, w przededniu wielkich wydarzeń, wejrzeć w głąb swej duszy. Trzeba znaleźć swą własną odpowiedź. By dzień demobilizacji nie przyniósł gorzkich rozczarowań, by nie opadły ręce, gdy ująć nimi trzeba będzie narzędzia pracy. Musimy pamiętać, że kraj słusznie żądać od nas będzie jasnych myśli i dalekiego spojrzenia w przyszłość.

Byliśmy na czas wojny zwolnieni od fizycznego ucisku wroga, mieliśmy aż nadto czasu, by poznać prawdziwie wolne życie Wielkiego Narodu. Niech czas wspólnej walki, pozostawi przeświadczenie, że jedna jest sprawa, o którą się toczy bój.

Przyjmijmy rzucone przez p. Budzyńskiego hasło: opanowania. Jest ono konieczne dla współżycia.

Zamilkną wówczas małe kłótnie i zaciekłe spory. I to, jak sądzę, przyśpieszy i utrwali ów "Cud nad Tamizą."

Łączę wyrazy szacunku

Enjot /O.R.P. "Garland"/

ZŁA I DOBRA PROPAGANDA

Jeśli dobre strony naszej zorganizowanej propagandy podnosimy i chwalimy, to nie wolno nam jednak pomijać i złych stron. Mam na myśli pogadankę radiową jednej z naszych pań, opowiadającej swoje przeżycia w drodze z Polski do Wielkiej Brytanii. Pogadanka została wygłoszona na dobrą angielszczyzną. Wielu z mych przyjaciół brytyjskich zwróciło się do mnie w tej sprawie. Chodzi o to, że ta pani wyraziła niezadowolenie z przeprowadzania indagacji jej osoby przez urzędy graniczne czy celne. Czy ta pani nie zdaje sobie sprawy z tego, że podczas wojny pożądana jest jak najdalej idąca ostrożność co do cudzoziemców przekraczających granicę? Czy nie czyni się tego nawet podczas pokoju? Poco są w takim razie ci urzędnicy — czy poto — by tylko kłaniali się uprzejmie nieznanym bliżej cudzoziemcom? Pani ta krytykowała również warunki w hotelu, w którym przebywała przez jakiś czas po przybyciu do Wielkiej Brytanii. Brytyjczycy sami zdają sobie sprawę, że nie wszystkie ich hotele są pełne wygód, więc poco ta krytyka? Czy wypada gościowi krytykować gospodarza? Po trzecie pani ta użalała się na płacenie aż 5 sh. tygodniowo za garażowanie nieczynnego obecnie, jej prywatnego samochodu przywiezionego z Polski.

Należytą odpowiedź na to dostała od p. Joanny Aldridge w liście do redaktora jednego z pism polskich w Wielkiej Brytanii.

Jedna z pań brytyjskich, która gorąco interesuje się sprawami Polski, pracująca w Scottish-Polish Society, pisze tak w tej sprawie:

I claim the woman's privilege to change my mind and open up again the subject of the Polish Woman's broadcast. Firstly because there was a letter in "Wiadomości Polskie" about it written by a British woman, who said pretty much what I should have said myself about it—secondly because it did create a widespread bad impression in my town at least, because quite a number of people have mentioned it to me since they seemed a bit annoyed with it—thirdly because I listened to the "Kitchen Front" broadcast last Thursday or Friday morning. It was a "Polish Housewife," and I am sure it was the same woman she was going to give a recipe for using up stale bread—and began by saying "of course you ought not to have any stale bread /podkreślenie autorki listu/ *— and then she proceeded to give the recipe using a ½ lb. of it. I think to say the least she is a very tactless individual and I wish whoever is responsible /if anyone is/ for Polish propaganda in this country would keep her away from the microphone before she does any damage to the good feeling in this country.*

Moi przyjaciele Brytyjczycy nie czują żalu do Polaków w związku z tym wydarzeniem. Czują żal do tej pani i lekki żal do tych, co pozwolili tej pani przemawiać w tej formie i pozwolili przemawiać jako "polskiej uciekinierce" mówiącej w imieniu innych Polek na obczyźnie.

Kończąc chciałbym dorzucić jeszcze jeden rys naszej propagandy zorganizowanej — tym razem piękny.

Mojej gospodyni mąż jest kamieniarzem. Przychodzi z pracy i opowiada, że wczoraj w radio jakiś Polak śpiewał szkocką pieśń "Annie Laurie." Wszyscy mówią, że żaden z Brytyjskich śpiewaków tak pięknie by nie zaśpiewał. Po prostu śpiewał cudnie. Taka była opinia kamieniarza. Kto to był? — wszyscy pytają. Nazwisko? Powiedziałem. "*Spelling and pronunciation very difficult,*" ale wszyscy pamiętają jedno imię; Polak.

Polska orkiestra wojskowa gra w jednym z parków "gdzieś w Szkocji" — siedzą sobie starowiny i chwalą, że grają Polacy ładnie i szepcą; czy słyszała moja pani pieśń "Annie Laurie" śpiewaną przez Polaka w radio. Śpiewał cudnie. Tak z głębi serca. O mało nie płakałam. Zdawało mi się że ta "Annie Laurie" żyje, a on do niej tak śpiewa."

Śpiewaku "Annie Laurie," twoja propaganda jest dobra. Twoja pieśń jak wyszła z ludu, tak idzie w lud. Lud brytyjski o tobie mówi. Ty na pewno robisz dobrą propagandę.

J. M. RUPASZEWSKI

ADRESY USTALONE

Osoby te jak również ich znajomi posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych, Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, London, S.W.1.

WYKAZ Nr. 28 /dokończenie/

1. **Andychów** Maria /prawdopodobnie Andruchów, matka Karola/ — zmarła w Rosji w grudniu 1942 /16.4.43/.
2. **Andrusikiewicz** Ludwika, matka lotn. Romana: Kustanaj, Narymanówka, Ostrowskiego 28 /24.4.43/.
3. **Borkowska** Wanda, siostra por. pil. Ostaszewskiego Stanisława: Ufa, Karola Marksa 123 /24.4.43/.
4. **Banasińska** Anna, żona por. lot. Kazimierza Ludwika: Akmolińsk, Sewierny Wygon 52 /24.4.43/.
5. **Biszko** Stefania: Aktiubinskaja obłast Dżurun ul. Proletarskaja 34 /16.4.43/.
6. **Cielińska** Zofia, żona plut. Jana: Kustanajskaja obłast Pieszkowskij rejon Zatiszenka poczta Chworostanka /16.4.43/.
7. **Czaplicka,** żona /majora?/ Aleksandra: Akmolińsk Karłaty Jesilskij rozjezd Krasiwaja /24.4.43/.
8. **Chaszczyńska** Ernestyna: Aktiubinskaja obłast. Stacja Tawdy Dietdom /24.4.43/.
9. **Dombrowska** /Dąbrowska/ Honorata: Kustanajskaja obł. Zatobolskij rejon Zatobolowka /24.4.43/.
10. **Dudziec** Janina z d. Baecker: Semipałatynsk Zaton. Swinbaza /24.4.43/.

WYKAZ Nr. 30

1. **Basłyk** Stanisława: Obóz Cywilny Nr. 2. Teheran — matka Wiktoria 1934. r. i żona Włodzimierza, 5.V.43. r.
2. **Bober** Wanda, ochotniczka: Polish Forces, Paiforce Nr. 82 — siostra pchor. art. w Zambrowie, obecnie w Marynarce w Anglii, Stołyhwo Olgierda, 5.V.43. r.
3. **Furdyna** Barbara: Teheran, Obóz Ewak. 31.III.43. r.
4. **Grądzka** Józefa: Teheran, Obóz Cyw. Nr. 1, Delegatura Min. Pr. i Op. Społ. — żona Kazimierza, matka Jerzego 1921. r., 5.V.1943. r.
5. **Lifshitz** Maksymilian /prawdop. Lifszyc/: Teheran, Obóz Cyw. Nr. 1. — ojciec Leona 1923. r., 5.V.1943. r.
6. **Łozówna** Janina, ochotniczka: 2 Iran, Paiforce, Polish Forces, 31.I.1943. r.
7. **Myśków** Zofia: Teheran, Obóz Cyw. Nr. 2.
8. **Pawlaczek** Gustaw: Teheran, Poselstwo R.P. — krewny Pawlaczek Adama kpr. 1909. r., 5.V.1943. r.
9. **Sewerynowa** Władysława, ochotniczka: Paiforce 82, Polish Forces, 31.III.1943. r.
10. **Strumnik** Aniela: Teheran, Obóz Cyw. Nr. 3., szałas 53 — żona Bronisława 1903. r., 5.V.1943. r.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £9,556

Pracownicy Wydziału Prac Kulturalno — Oświatowych Min. Obr. Narod. stosownie do decyzji dobrowolnego, stałego, progresywnego opodatkowania, przesyłają za miesiąc sierpień £21.5.0 /słownie: dwadzieścia jeden funtów, pięć szylingów/.

* * *

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Spieszę zwrócić otrzymane dziś £1.10.0 nieoczekiwane honorarium za mój artykulik z serdecznym podziękowaniem dla Szan. Pana i prośbą o przekazanie tej kwoty na pomoc dla obywateli Rzeczypospolitej Polskiej, deportowanych do Rosji.

Łączę wyrazy poważania i szacunku

Włodzimierz Rychter

* * *

P.T. Redakcja "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £10 sh.3 d.2 ofiarowane przez niektórych podoficerów i szeregowych Pułku Przeciwpancernego, na pomoc polskim dzieciom sierotom, wyewakuowanym z Rosji.

O.T. wachm.

* * *

Przesyłam Panom kwotę £1.0.0 /jeden funt/ omyłkowo skierowany do Redakcji "Skrzydeł" przez p. Mariana Strumieńskiego, P/18, Polish Forces, tytułem ofiary.

Szef Wydziału
mjr. obs. W.Z.

* * *

Przesyłam Postal Order na sumę sh.6 — z przeznaczeniem na pomoc dzieciom polskim w Rosji.

Z żołnierskim pozdrowieniem

Z. Korabiński

* * *

P.J. Lesiak zamiast opłaty za ogłoszone poszukiwanie sh.10 na pomoc Polakom w Rosji.

Ppłk. dypl. A.M. po likwidacji 3 komp. byłego 1. Of. Baonu Szkolnego wpłacił £4.10.0 na pomoc Polakom w Rosji.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam £5.0.0 na biedne dzieci polskie znajdujące się w Rosji lub gdzie indziej na szlakach polskiej tułaczki.

Z poważaniem

M.L. ppłk.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £44.4.2 /słownie czterdzieści cztery funty, cztery szylingi i dwa pensy/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £9,556.19.4½ /słownie: dziewięć tysięcy pięćset pięćdziesiąt sześć funtów, dziewiętnaście szylingów, cztery i pół pensa/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich i 15 czerwieńców.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Szanowna Redakcjo!

Niniejszym przesyłam kilka książek dla Polaków na Bliskim Wschodzie.

Z poważaniem *K. Felba*

Załączone: E. Ligocki: "Złota chorągiew." /3 egz./ B. Wdały: "Niemcy w Polsce." J. Pomian: "Rzeczpospolita." "Walki w obronie granic."

Pan T. T. nadesłał: "Za naszą i waszą wolność." B. Wielkopolski: "Nowe podstawy rozwoju Polski i ludzkości." J. Chyszowski: "Imperializm i federacjonalizm." A. Gronowicz: "Narodziny miłości Hitlera." J. Świątosławski: "Sprawa Polska." W. Zapora: "Na szlakach monopartii." "W 600-lecie powrotu Grodów Czerwieńskich do Polski." "Mały modlitewnik." Arcybiskup Teodorowicz: "O miłości ojczyzny." T. Śmigielski: "Przemiany sposobów walki." Z. Kossak: "Chrześcijańskie posłannictwo Polski." "Szkoda mrugać panie strzelec." W. Solski: "Przy świetle księżyca." "Polacy w Anglii." "Biuletyn Klubu Narodowego."

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

W załączeniu przesyłam money order na kwotę: £17 sh.10 d.3½ /funtów siedemnaście, szylingów dziesięć, pensów trzy i pół/, którą przeznaczam na pomoc dla jeńców polskich w Niemczech.

Jest to 50% dochodów uzyskanych z prowadzenia kantyny Batalionu Szkockiego, przez sierż. Sz. za czas do 4 czerwca 1943 r.

Dowódca Batalionu:
mjr. Ch. Stefan

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

Na jeńców polskich w Niemczech kwota £6, zebrana w kasynie oficerskim tytułem opłat za prowadzenie rozmów służbowych w czasie spożywania posiłków.

Adiutant Dywizjonu
por. R.

* * *

Ppułk. dypl. A.M. po likwidacji 3 komp. byłego 1 Of. Baonu Szkolnego wpłacił £4 sh.10 na Jeńców Polskich w Niemczech.

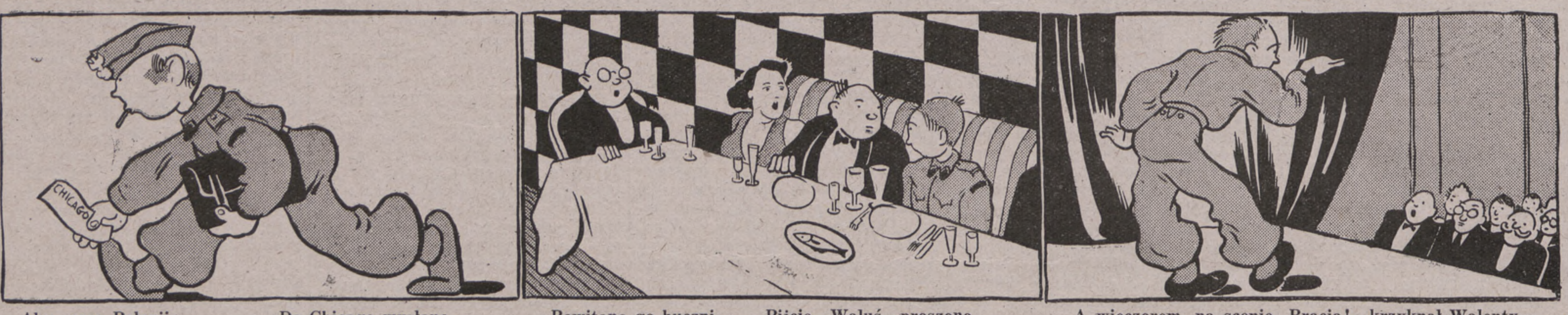
* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £28.0.3½ /słownie dwadzieścia osiem funtów, trzy i pół pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £553.16.1½ /słownie pięćset pięćdziesiąt trzy funty, szesnaście szylingów i półtora pensa/.

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

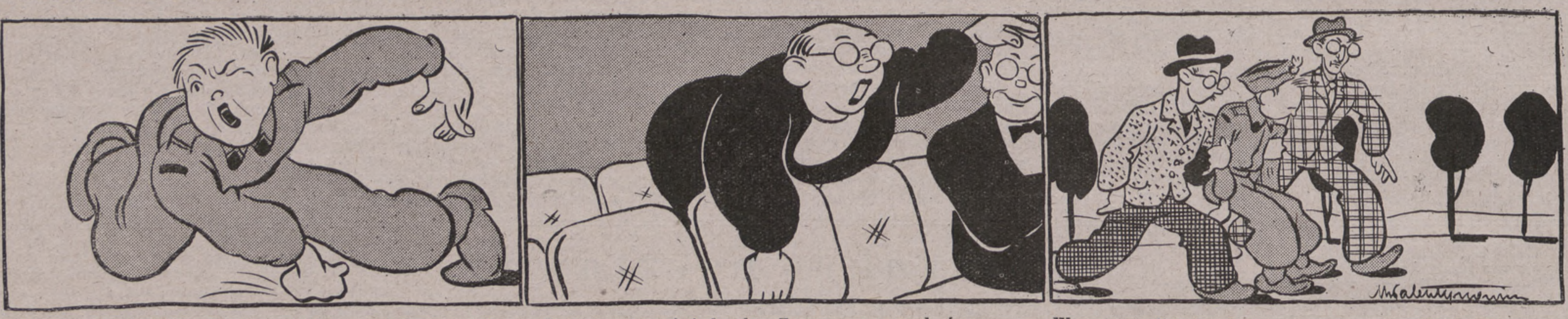
Tekst: RYSZARD POBÓG — *Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ*



Aby serca Polonii
Żarem rozgrzać, zachwytem,
Do Chicago wysłano
Pana Pompkę z odczytem.

Powitano go hucznie
W restauracji Lenarda
Pijcie—Waluś—proszono
Waszym słowom to żar da!

A wieczorem, na scenie,
Resztki goniąc pamięci:
Bracia!—krzyknął Walenty—
Stwierdzam, ziemia się kręci!



To są sztuczki Hitlera!
Hydra naszą krew pije!
Naprzód! Za mną! Na wroga!
Wszyscy razem! Niech żyje!

Potem prezes oświadczył:
Mądre słowa i krótkie!
Zapraszamy przedmówcę
Na kolację i wódkie!

W restauracji przemówień
Było jeszcze bez liku,
Do Windsoru Walenty
Przywiózł . . . dwóch ochotników.

SPIS RZECZY:

KTOKOLWIEK z zainteresowanych Polaków życzyłby sobie NOWY TESTAMENT lub EWANGELIĘ ŚW. JANA w języku POLSKIM proszę się zwrócić pisemnie do pana S.K. Hine, 110, Christchurch Road, London, S.W.2.

POSZUKIWANIA

Autor artykułu: "1 Dywizja Grenadierów: ludzie i zdarzenia" /pseudonim Wacław Frelek/ druk. w numerze 26 "Polski Walczącej" z dnia 3.VII.43 proszony jest o podanie swego adresu do Redakcji.

Poszukuję brata LESIAKA TADEUSZA ur. r. 1914, przed wojną przebywał w 27 Pal. Włodzimierz Wołyński, oraz siostrę HALINĘ LESIAK ur. r. 1917, ostatnio zamieszkała w Włodzimierzu Wołyńskim.

Wszelkie wiadomości proszę kierować: Jerzy Lesiak RAF, Tempsford, Sandy, Beds.

* * *

Jerzy STACHOWICZ poszukuje swego ojca STACHOWICZA Walentego, ostatnio 68. pp. Września.

* * *

IAKS Jerzy poszukuje swego brata RYSZARDA.

PAWŁOWICZ Stanisław poszukuje swego brata EUGENIUSZA,

FORTUNIAK Stanisław poszukuje Antoniego LEWANDOWSKIEGO,

Wiadomości kierować do administracji "P.W."

* * *

KRZYSIAKA Zbigniewa z Wielkich Ocz, pow. Jaworów poszukuje brat Tadeusz Krzysiak Polish Forces Paiforce 138.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fieds, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.